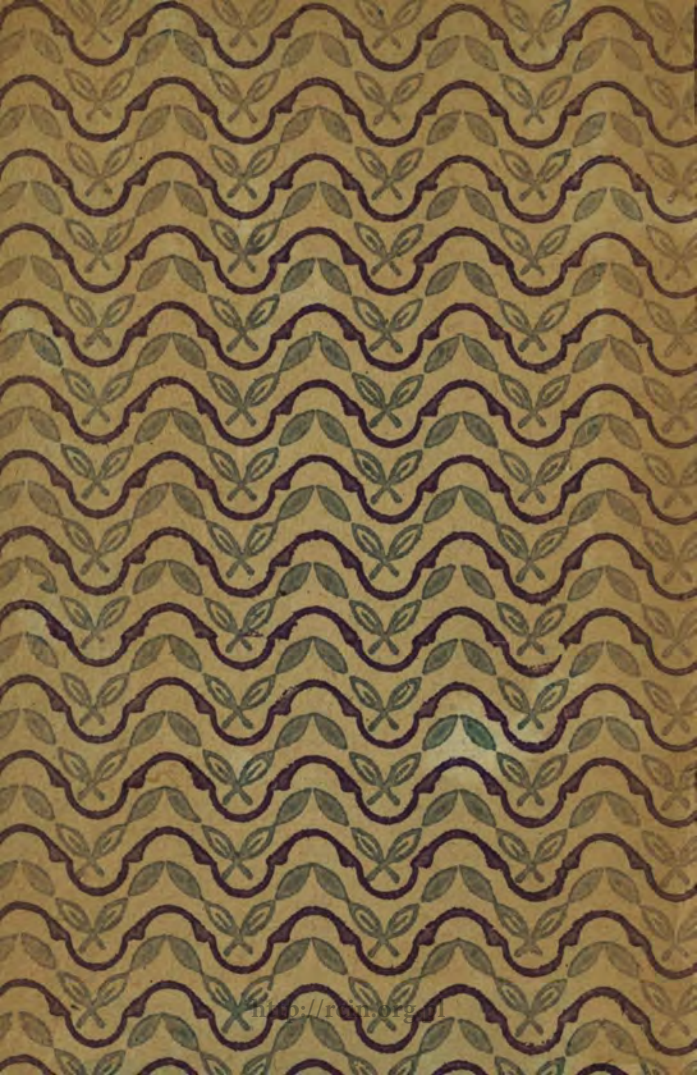


2  
N.







**JUTRZENKA**

1834.

MENTO

---

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.

---

Red. K. Brodziński

★  
DUTRZENIKA  
NOWOROCZNIK

Warszawski

na rok

1834

W WARSZAWIE  
Drukarnia A. Gałęzowskiego i Spółki  
przy Ulicy Żabiej N° 472



1881  
P-1-651

P-1



## SPIS RZECZY.

### PROZA.

	Strona.
<i>Kazimierz</i> , w województwie Lubelskiem; przez L. P.	1
<i>Sawitry</i> , ustęp z poematu sauskryckiego; przez Kazimierza z Królówki .....	45
<i>Matylda i Gustaw</i> , powieść; przez Antoninę J. ...	83
<i>Człowiek i jego lata</i> , parabola z N. ....	107
Wyjątek z pisma pod tytułem: <i>Piękność i Wzniosłość</i> ; przez K. z Kr. ....	113
<i>Przeobrażenia</i> , fantazya; przez J. D. Minasowicza ..	201
<i>Młodość Kopernika</i> , powieść; przez Annę Nak. ....	209
<i>Walter Scott</i> , wspomnienie naukowe; przez Eleonorę G. ....	257

### POEZJA.

<i>Fraszki</i> , przez Kazimierza z Królówki .....	15
<i>Olimpia</i> , powieść żartobliwie-poważna, przez L. P.	95
<i>Dziadek</i> , przez K. z Kr. ....	155
<i>O dobrej żonie</i> , z Przypowieści Salomona rozdział 31; przez K. z Kr. ....	162
<i>Z Hioba</i> , przez K. z Kr. ....	164
<i>Z Teozof</i> , przez K. z Kr. ....	166

<i>Z Hioba</i> , przez K. z Kr. ....	168
<i>Uboga Wdowa</i> , przez St. z Dz. ....	170
<i>Uczeń Czarnoksiężnika</i> , z Götthego; przez K. z Kr..	173
<i>Śpiewak</i> , z Götthego; przez Antoniego Szabrańskiego.	177
<i>Kwiatek</i> , pieśń więźnia, z Götthego; przez Antoniego Szabrańskiego .....	179
<i>Zimowa piosnka</i> , z Bürgera; przez Antoniego Szabrańskiego .....	183
<i>Pieśń do wietrzyka</i> ; przez K. z Kr. ....	184
<i>Pieśń</i> , przez K. z Kr. ....	186
<i>Śpiewka</i> , przez K. z Kr. ....	187
<i>Cyganka i Halina</i> , przez St. z Dz. ....	188
<i>Aniolki i Adelecia</i> , przez St. z Dz. ....	192
<i>Zapytanie</i> , przez Walentynę T. ....	193
<i>Karolek i słońce</i> , przez St. z Dz. ....	194
<i>Mysł Matki</i> , przez Walentynę T. ....	195
<i>Wspomnienie Henryka Hertzberg</i> ; przez Antoniego Szabrańskiego .....	196
<i>Pociecha</i> , przez Antoniego Szabrańskiego .....	197
<i>Człowiek i cień</i> , z Herdera; przez K. z Kr. ....	198
<i>Znalezienie</i> , z Götthego; przez Antoniego Szabrańskiego .....	199
<i>Wdzięczność</i> , przez Walentynę T. ....	200





*A. V. da balowskiego i. k.*

WIDOK MIASTA KAZIMIERZA

<http://rcin.org.pl>

**KAZIMIĘRZ,**

*W Województwie Lubelskiem.*

---

Niechaj się Peru i Czyle\* pysznią skar-  
bami złota; niechaj Brazylia wydobywa  
dyamenty; Indye Wschodnie łowią perły;  
nad brzegami południowej Europy niechaj  
kwitną wiecznie oliwy, cytryny, pomarań-  
cze i inne słodczyce auzońskie: dla mnie  
nie masz wspanialszego, nie masz piękniej-  
szego widoku nad równinę, od wschodu do

\* Chile.

zachodu oceanem kłosów zalaną. Nie ukazują mi się wtenczas owe błyskotki, które nie same przez się, ale przez wyobrażenie ludzi w cenie swój urosły; nie są to kwiaty wyobraźni schlebiające, łakotki wyszukany smak pieszczące; nie jest to obraz zwykłej powierzchowności światowej: ale widok ten przedstawia mi treściwą, dobroczynną piękność; skutek trudów i pracy, w niskiej cenie zostawiającej zasługi; skromną podstawę wszystkich dalej rosnących i wygórowanych przepychów świata. Jest to plon, bez którego równie mocarz, jak najbiędniejszy z kmiotków obejść się nie zdoła; jest to żniwo, do którego wszystkie powołane są stany; jest to błogosławieństwo, które Niebo zléwa corocznie na zgłodniały ród człowieczy; jest to uosobistniona Najwyższa Dobroć i Potęga. Szczęście człowieka nie jest tak odległe: nie potrzeba dla znalezienia go zapamiętałych wypraw; bez młotów kopalnianych, bez dzwonów nurkowych, bez kompasów i sztuki gwiazdziarskiej można się dostać do niego, trzymając się jedynie

tych skazówek, jakie nam daje samo przyrodzenie. Gdzie ziemia obfita wraca dzie sięćkrotnie datek sobie powierzony; gdzie wichry północne, zarazy południowe, wulkany ogniste, i strumienie wylewające, nie niszczą chlebobawczych plonów: tam ziemiaństwo, tam zawód rolniczy, równie jest pewnym, jak naturalnym źródłem ziemskiego życia swobody. A jak były czasy, kiedy mocarze ziemi, ceniąc całą wartość obywatelskiego ziemiaństwa, od miecza do pługą wracali; tak ostatni szczebel kultury, coraz bardziej w górę idącej, będzie ten, iż znów powróci na łono naturalności. Szczęśliwy kraj, który podstawy dobrego mienia swego nie potrzebuje szukać po za granicami swemi; którego dobry byt nie zawisł od chwilowych stosunków, zmyślonej potrzeby, mody, przywidzenia! I słusznie obok innych narodów wychwalających swoje dziedziny, może Polak rzec z Kamińskim:

„Zawsze szczodrość PAŃSKA z nami,  
Ta obdarza nas pszenicą;  
Wyślemy ją galarami,  
Żywić głodnych za granicą!“

Oddział galarów obładowanych złoci-  
stém ziarnem z nad Nidy, z Czerwonój Rusi,  
z pod Sandomierza i Buczacza; rotman na  
czele, porzący nurty wspaniałej Wisły, któ-  
rój wszystkie strumienie z Karpat polskich  
ściekające, Skawa i Dunajec, Biała i Wisło-  
ka, Wisłok i San, wody swe w daninie odda-  
ły: to jest prawdziwy obraz wewnętrznego  
życia polskiego, to jest charakterystyką dzi-  
siejszego Sarmaty.

Wypłynąwszy z Krakowa, mijamy staro-  
żytną Mogiłę. Nidą użyźnione niwy Nowe-  
gomiasta, mijamy niegdyś warowne mury  
Sandomierza i Zawichost: i gdy już wszyst-  
kie rzeki Karpackie, do Wisły dążące, po-  
mnożyły wodami swemi nurty jój wspaniałe,  
jakieżto dwa zameczyska ścieśniają nam wo-  
dnistą, szeroko rozlewającą się drogę?

Jest to po lewój zamek *Janowiec* pamięta-  
jący czasy Zygmunów; po prawej zamek  
i miasto *Kazimierz (Dolny)*, założone przez  
wielkiego Króla, którego imię nosi.

Patrząc w Kazimierzu na te, tak przed jak  
za miastem, z kamienia murowane, dziś roz-



wałające się śpiechlerze ; na wznoszące się na górze rozwaliny znakomitego zamku; na te starożytne kamienice, rynek miasta tworzące: możnaby się dziwić, co dało powód Królowi Chłopków do założenia tego zamku i grodu; co spowodowało późniejsze czasy do zrobienia z Kazimierza składów zbożowych; co podniosło miasto to do tego znaczenia, iż je nazwiskiem drugiego Gdańska uczczono. Wytłumaczy nam to charakter Króla, który miastu temu dał swe nazwisko; wytłumaczy położenie miejsca.

Nikt zaiste z dawniejszych Królów nie znał tak dobrze potrzeb i własności kraju naszego, nikt może lepiej nie umiał ocenić prawdziwego interesu Polski, jak nieśmiertelny Kazimierz Wielki. Zabezpieczywszy kraj zewnątrz od najazdów Krzyżackich; utrwaliwszy spokojność wewnętrzną przez zbudowanie i obwarowanie miast, zaprowadzenie nowych sądów i nadanie Statutu Wiślickiego: pragnął on poświęcić starania swoje całkowicie wzniesieniu rolnictwa, przemysłu z rolnictwem bezpośrednio po-

łączonego, i handlu. Z tego to względu sprowadzał osadników z głębi Niemiec, zaludniając nimi Podgórze Karpackie; z téj to przyczyny nadał swobody miastom; to było powodem do założenia Kazimiérza. Bo jeżeli produkta jego ulubionego Podgórze Karpackiego, jeżeli drzewo z Tatr, sól z Wieliczki, żelazo z pod Karpat, zboże z Krakowskiego Sandomiérskiego i Lubelskiego (które wówczas czoło Królestwa Polskiego stanowiły), miały być daniną Wiśle należną: potrzeba było w punkcie, gdzie się już wszystkie rzeki polskich Karpat z nią połączyły, między ziemią Sandomiérską a Lubelską, na głównym trakcie łączącym dwa wówczas najznacniejsze miasta, Kraków i Lublin, miejsca, któreby środkowy punkt handlu zbożowego stanowiło. Tym punktem stał się Kazimiérz. I nie mamy się czego dziwować, czytając w dawnych xięgach, iż niegdyś, a zwłaszcza za czasów Jagiellońskich, kupcy Gdańscy (dopóki Gdańsk nie przywłaszczył sobie prawa składu), Elblągscy, Toruńscy, a nawet i z zagranicy, przyjeżdżali

w to miejsce dla zakupu pszenicy naszej; nie będą nam się zdawały bajecznymi świadectwa, że kupcy Angielscy kantory swoje tu mieli.\*

Nim się jeszcze dojedzie do przewozu, który jest pod samem miastem, widać przed Kazimierzem, nad samą Wisłą, owe śpichlerze murowane, dziś po większej części spustoszone i bez dachu. Są w liczbie około 20; wszystkie w czworoboki trwało stawiane, na kilka piątr wysokie. Równa prawie liczba śpichlerzy tych, leży za miastem, na drodze do Puław; ale te są, choć w części, lepiej zachowane.

Błotnistą ulicą wjeżdża się od przewozu do rynku. Ten składa się z starożytnych domów, stawianych z kamienia wapiennego, w który ta okolica obfituje. Większa część tych kamienic jest opiętrze: na dole przechody pod arkadami; dachy włoskie z facyatami; a nad wchodem kamienicznym, tu i owdzie, rzeźby lub obrazy,

\* SWIĘCKIEGO, Opis Starożytności Polskiej. Tom I, str. 193.

osobliwie świętych, wszystko nader dawnéj roboty. Na szczególną uwagę zasługują dwa domy gotyckiej i filigranowej budowy, z kolorowemi płaskorzeźbami; a mianowicie płaskorzeźba wyobrażająca człowieka olbrzymiej postaci (zdaje się Ś. Krzysztofa), przechodzącego przez wodę, i niosącego na ramieniu dziecię, a w ręku maczugę.

Między rynkiem a Wisłą jest ulica, na której widać jeszcze szczątki dawnego gmachu; a która, dla imienia swego *senatorskiej*, zasługuje na wzmiankę. Idąc na wschodnie południe, prosto z rynku, wznosi się na górze kościół i klasztor XX. Reformatów, w nader romansowém położeniu. Na wschód, ku Lublinowi, leży na ustroniu kościołek Ś. Anny. Na północ zaś, ku Puławom, stoi kościół farny, pod górą zamkową, na wzgórzu otoczonym zwaliskami domów. Kościół ten jest budowy gotyckiej; a według podania dziejopisarzów \* wystawił go jeszcze Kazimierz W., odnowił zaś później Henryk Firlej. Tym

\* SWIĘCKI, jak wyżej.

sposobem przetrwał blisko lat 500. Tuż koło fary stoi niezamieszkały dom, dawniej plebański, w którym trawił nad naukami początkowy zawód swój kościelny nicodząwanej pamięci Prymas Królestwa Polskiego X. Woroniecz; w tych to murach nastroił był lutnię do najśławniejszych pieśni swoich.

Zresztą, z widoku wewnętrznego, należy Kazimierz do rzędu lichych naszych miasteczek. Położenie wśród gór, w półkolugo otaczających, czyni to miasto błotnistém. Z 280 domów, mniejsza ledwie połowa jest muryowanych. A gdy większa część ludności, 1800 dusz wynoszącej, składa się z Izraelitów, przeto ochędóstwo i czystość nie mogą się liczyć bynajmniej do zalet miejsca tego. Handel podupadł, śpichlerze prawie puste; a po tém, co wyżej o znakomitości tego składu zbożowego powiedziano, nie warto nawet wspominać o dzisiejszym handlu zbożowym miasta tego. Mieszkańcy chrześcijańscy trudnią się rolnictwem. Wzgórza nad miastem okryte są sadami; a śliwki i powidła Kazimierskie znane są w całej okolicy.

Z władz miejscowych wyliczamy: Sąd Pokoju Powiatu Kazimińskiego i Burmistrza Miasta, który polecenia rządowe odbiera od Kommissarza Obwodu Lubelskiego. Jest także Urząd Pocztowy i Szkoła Początkowa.

Kazimierz jest miastem dziedziczném Xiążąt Czartoryskich. — Niegdyś był jedném z tych sześciu miast, które należały do Najwyższego Sądu Appellacyjnego przez Kazimierza W. w Krakowie dla miast ustanowionego. Wartość domów zaassekurowanych w Towarzystwie Ogniwém wynosi przeszło 425 000 złp. Roczne dochody miasta dochodzą do 17 000 złp.

Z pomiędzy wzgórz Kazimińskich, najwyższa jest góra zamkowa, od strony Puław nad farą się wznosząca. Na wazkiej, podłużnej odnodze jej, widać rozwaliny dosyć obszernego zamku, który, zbudowany ręką Kazimierza W., był niegdyś ulubioném jego mieszkaniem. Jakoż, leżąc nad Wisłą, na (dawnym) trakcie z Krakowa do Lublina, o mil tylko 6 od ostatniego miasta, jednoczyło miejsce to wartość pod względem

dobra publicznego, do powabów położenia swojego. Jak dzisiaj zamek ten, i niżej leżący kościół farny, wyglądają, przedstawia na czele dziełka tego umieszczona rycina, roboty współrodaka Antoniego Oleszczyńskiego, jednego z najznakomitszych artystów Europejskich. Ukazująca się obok wieża, jest o kilkaset kroków od zamku oddalona, i wąwozem zupełnie odosobniona. Nie łatwo można się domyślić jej przeznaczenia; albowiem, przy budowie okrągłej i dość wysokości, jest wewnątrz zupełnie próżna i nie ma żadnego wejścia. Jest domniemanie, że w czasach, kiedy miasto Kazimierz odwiedzane było przez liczne statki krajowe i zagraniczne, wieża ta służyła za latarnię, w ten sposób, iż na szczycie jej, kratami żelaznymi okrytym, rozpalano ogień, który w ciemnych nocach miał być dla żeglujących przewodnikiem.

Widok z tych gór na miasto, u stóp ich leżące, na Wisłę, i na zamek Janowiec, z drugiej strony rzeki stojący; a ku północy na rokoszne Puławy, o milę tylko odległe, na-

leży do rzędu najpiękniejszych w kraju naszym. Ajak zamek Janowiecki, na wzniosłej górze sterczący, niegdyś obwarowany, przypomina wojenne czasy Szwedzkiego Karola Gustawa; tak łagodzi ten widok bliskość świątyni Muz i Pokoju w Puławach, oraz wiejskie przybytki Włostowie, Marynek, Parchatki i Bochońcy. W tej ostatniej widać na kończącym wzgórzu szczątki interesujących rozwalin. Według jednych mają to być gruzy kościoła Aryanów, niegdyś tak licznych w tych okolicach; inni twierdzą\*, iż ruiny te pochodzą z zamku, który jeszcze Kazimierz W. wybudował dla osoby słodzącej mu trudy panowania. Jest tu mowa o Esterce. A kończąc ten opis tym samym uwielbieniem dla Króla Chłopków, z jakimśmy go zaczęli, kładziemy następujące wiersze Wężyka:\*\*

„O największy z monarchów! Ty którego zwłoki  
Zbyt rychło duch opuścił porwany w obłoki,  
Twa dłoń straszna dla zbrodni, dla cnoty łaskawa,  
Dała nam przemysł, miasta, rękodzielnie, prawa.

\* SWIĘCKI.

\*\* Okolice Krakowa.



Kiedy wojny szarpały sąsiedzkie zagrody,  
Rządzą Polskę przez Ciebie, wielbily narody.  
Pokój wam i cześć wieczna drogie dla nas kości!  
Możnaż winić Twą słabość, dziwiąc się wielkości?  
Niech enót ostrych wielbiciel Twój chwale uwłoczy,  
Niech przemoc od Twych prochów błędne zwraca oczy,  
Niech drżą na Twe wspomnienie występni panowie,  
Niech Cię dumnych nienawiść władcą chłopków zowie;  
Chlubniejszy ma w tem pomnik Twa wielkość i cnota  
Nad wspaniałe grobowce z marmuru i złota:  
A łyzy, które po Tobie lud wylewał cały,  
Są najpiękniejszą cześcią nieśmiertelnej chwały.“

*L. P.*





## FRASZKI.

---

### 1.

#### *Do Hanny.*

Ty niegdyś jedna trosko, jedyne wesele,  
Dziś cię już fraszkom, Hanno! postawię na czele.

### 2.

#### *Do Przyjaciela.*

Kochaliśmy się niegdyś; ty zostałeś panem,  
Jam jeden, tyś się zmienił i sercem i stanem:  
Zdrów więc bywaj! aż w stałym świecie się ujrzymy,  
Tam znowu równi, wiecznie kochać się będziemy.

## 3.

*Do Boga dwie prośby.*

Na ziemi tak przestronęj daj mi szczupłą rolę,  
W tak wielkiem świetle wieku, daj dojrzyć Twą wolę!

## 4.

*Professoryzm.*

Choćby wszyscy mądrzy byli,  
Jedniby drugich uczyli.

## 5.

*Do Jana Kochanowskiego.*

Wielbię ja razem z światem wielkie geniusze.  
Lecz Janie z Czarnolasu! tyś mi ujął duszę;  
Tyś mi jakoś do cichęj przyjaźni stworzony;  
Nieokażny, ztąd mało od świata ceniony:  
Nikt też nie wie, co w tobie widzi serce moje;  
I ja, z tobą przestając, o wielkość nie stoję.

## 6.

*Różne losy.*

Kret ślepy, niewidziany narcysy rozryje;  
Jastrząb, z łupem bezkarnie w obłoki się kryje:

A skowronek, gdy cieszy spracowanych ludzi,  
 Śpiewaniem strzelca obudzi.

## 7.

*Do sąsiada.*

O sto kroków mieszkanie, lecz o sto mil myśli;  
 Przetośmy do przyjaźni, sąsiedzie, nie przyszli.

## 8.

*Cuda piekielne.*

Próżność w sędziwych, w młodych obluda,  
 Są to na świecie piekielne cuda.

## 9.

*Do czasu.*

Oszukałeś mię czasie! choć serce się smuci,  
 Błaga, niech mu twa dawna uluda powróci!

## 10.

*Miła pociecha.*

Kiedy robakom dasz ciało na strawę,  
 Przestanie głupstwo szarpać twoją sławę;

Podobnie kruszec, aż z ziemi obleci,  
Dopiero blaskiem zaświeci.

## 11.

*Do pani Gadulskiej.*

Cztery umiesz języki, — dla naszej ochłody,  
Wyjeżdżaj! i trzy inne zagadaj narody.

## 12.

*Poeta sielski.*

Owce ja prawda śpiewam, mówiąc między nami,  
Ale nie te, co becząc, chcą lecieć z orłami.

## 13.

*Walka.*

Gdy widzę wiejską czerstwość i prostoty wdzięki,  
Radbym wieśniak ubogą zamieszkał z nią chatę;  
Lecz obok małej nóżki, obok śnieżnej ręki,  
Masz ze mnie arystokratę.

## 14.

*Przedsmak wieczności.*

Gdy z starym przyjacielem mam wino na stole,  
 I z nim patrzę na młodzież hasającą w kole ;  
 Wtedy przeszłość i przyszłość czarują mnie razem :  
 Chwila jest mi wieczności i nieba obrazem.

## 15.

*Nauki mędrca wschodniego.*

Jeśli prawdę chcecie wiedzieć :  
 Lepiej siedzieć, niżli stać ,  
 Lepiej leżeć, niżli siedzieć ,  
 Lepiej umrzeć, niżli spać.

*Nieszczęśliwy.*

Gdy cię Bóg z domu wyrzuci ,  
 Wszędzie stać będziesz za drzwiami ;  
 A kiedy On ci dom wróci ,  
 Wszyscy zaproszą cię sami .

*Przetak.*

Cierpliwość u kochanka, pieniądź u biedaka ,  
 Prędko ulecą, jak woda z przetaka.

*Nabożny, nie pobożny.*

Czyje serce dla Boga od ludzi odpadło,  
Ten, w ciemni siedząc, trzyma przed sobą zwierciadło.

*Siedm boleści.*

Przy siedmiu rzeczach duszę mam bólem przejętą :  
Gdy xiężyc we dnie ukaże się błądy,  
Gdy na zwiędłej piękności widzę wdzięków ślady,  
Kiedy na łące ujrzę trawkę ściętą,  
Kiedy bogaty brudnych zysków się nie wstydzi,  
Gdy człowiek piękny mówi niedorzecznie,  
Gdy pański ulubieniec potwarza i szydzi,  
I gdy poczciwy ubogim jest wiecznie.

*Powolne szczęście.*

Zwolna szczęście rosnące najdłuższe ma trwanie ;  
Ten kto z miejsca uprzedza, przed metą ustanie.  
Ptak, czém być ma, jest zaraz, gdy z gniazda ulata ;  
Człowiek powoli rośnie, lecz na pana świata.

*Sadi do czytelnika.*

Nie jedną cząstkę życia na tom ja poświęcił,  
Bym co dobre wyszukał, i drugich zachęcił.  
Chcesz lub nie chcesz korzystać z minionego znoju,  
Ja tobie życzę szczęścia, ty mi życzę pokoju.



## 16.

*Do ptaszków.*

Was natura, o ptaszki! kołysze z gniazdami ;  
 Was, dziwnie pisanemi, odziała piórkami ;  
 Was pieśni wyuczyła, któremi i lasy  
 Samotne ożywiacie, i rolnika wczasy ;  
 Dla was z gór rozesłała chłodzące strumienie ;  
 Wam opatrza, z siejącym kmieciem, w żywieniu ;  
 Was, jak aniołków, skrzydły obdarza lekkimi ;  
 Dała być posłańcami od nieba do ziemi,  
 Że drogą niedosiężną, nucąc pieśń swobody,  
 Przepaści przebywacie, i zamknięte grody.  
 Tak żyli i Sławianie, szczęśliwe jej dzieci ;  
 Wierząc nawet, że dusza, gdy z ciała uleci,  
 Ptasie odzieje piórka, na gałązce siędzie,  
 I nad grobem pieśń dawną pośpiewywać będzie.....

## 17.

*Fraszka do czytelnika.*

Jak podróżny na kwiatek, oko na mnie rzucisz ,  
 Oko rzucisz bez myśli, bez myśli odwrócisz.

## 18.

*Do Muzy.*

Kiedy ty, Muzo! dobroczynną sztuką,  
 Bożkami ludzi cieszysz widokami,  
 Miło popatrzeć; ale oni sami  
 Czarowne zwierciadło tłuką.

## 19.

*Do chmury.*

Rosą chmuro brzemienna, śpiesz na wiejskie sioła,  
 Rzeźwij zboża pożywne i zdrowiące ziola,  
 Daj świadectwo, że niebo wspiera znojne prace;  
 Ale grzmotami groźna nawiedzaj palace:  
 A którym ranne słońce nie wspomina Boga,  
 Niech ich grom twój obudzi, przypomni Go trwoga.

## 20.

*Do Muzy.*

Choć ma służba w twym dworze i niska i mała,  
 Wierny w niej się starzałem, lubo bez imienia;  
 I panią znać cię będę, wdzięcznen, póki tchnienia,  
 Żeś i mnie czasem z prochu w niebo wyprawiała.

## 21.

*Ziemska nagroda.*

Kiedy był młodym, mówili starzy:  
 „Czego nam drogę zachodzi,  
 I o czémśi nowém marzy?“  
 Kiedy się starzał, wołali młodzi:  
 „Czemu on z drogi nie schodzi,  
 I stare rzeczy nam gwarzy?“  
 On w starości, jak za młodu,  
 Pełnił, co kazał duch święty,  
 Żył i działał dla narodu,  
 Jemu, sobie, niepojęty.  
 Gdy kiedyś, w drzew' jego cieniu,  
 Spokojny potomek siędzie,  
 O ich zaszczepcy imieniu  
     Wiedzieć nie będzie.

## 22.

*Sława.*

Sława mądrych, jak iskra, zabłyśzczy i zginie;  
 Sława możnych, jak strzała, zaświszczy i minie.

## 23.

*Fraszki.*

Górą dziś wszystko, górą, a ja fraszki z wami;  
 Wszyscy z drogi do domu wrócimy z fraszkami.

## 24.

*Do Chrabąszcza.*

Mój ty rycerzu  
 Wąsaty,  
 W pancerzu!  
 Na drzewie siadasz,  
 I kwiaty  
 Objadasz.

Szumisz w pomroku  
 Po niwie,  
 Po rosie;  
 Trącasz złośliwie  
 Po oku,  
 Po nosie.

Niech zejdzie rano,  
 Stul wąsy,  
 I loty;  
 Z słońcem ustana  
 Twe płasy,  
 I psoty.

## 25.

*Mój ślub.*

Tu pamiątki młodości złożę wszystkie razem,  
 I serce obwaruję trójnitę żelazem ;  
 Oczom wolność zamawiam, bo, chociaż daleki,  
 Hold piękności, jak niebu, ślubuję na wieki.

## 26.

*Smutna śmieśność.*

Przetrząś ludzkie śmieśności od wieka do wieka ;  
 Poznaj głupich zawody, mędrków tajemnice,  
 Wszystkie sprawy oszustów; zwiędź małą stolicę :  
 Nic tak śmieśnym nie znajdziesz, jak pychę człowieka.

## 27.

*Filozofia.*

Być cichym filozofem, łatwo z wiarą sprostać;  
 Ale chcieć nim zasłynąć, łatwiej błaznem zostać.



## 28.

¶ *Nowa poetyka.*

Nie sztuka pisać, ale przedać sztuka :  
Dziś dla poetów nauka.

## 29.

*Filozofia stołowa.*

Chcąc być po uczcie zdrowym i rzeźwym ,  
Bądź ledwo sytym i ledwo trzeźwym.

## 30.

*Moje wątpliwości.*

W Imionniku N.

Gdybyś była aniołkiem, jak to rad uznaję,  
Toćbym przecię przy tobie nie miał grzesznych myśli ;  
Gdybyś była djabelkiem, jak czasem się zdaje,  
To już do cyrografu dawnobyśmy przyśli ;  
Gdybyś była ziemianką, poznałbym cię przecię,  
Bobyś coś z nami ludźmi dzieliła na świecie.  
Jeśliś nią , to nie dla mnie; i trzeba się zmusić  
Aniołka nie obrażać, djabelka nie kusić.

## 31.

*Mój towarzysz.*

On miał morza prześledzać, aż dziecko kołysze ;  
 Ja miał lecieć nad gwiazdy, ale fraszki piszę.

## 32.

*Pociecha.*

Choćby rozum zniknął wszędzie,  
 To rozumnych pełno będzie.

## 33.

*Przyjaciół.*

Jan, przez sztukę judaszową,  
 W jaki chce kolor się zmieni ;  
 Na stronie czerni obmową,  
 W oczy pochwałą rumieni.

## 34.

*Mój filozof.*

Jeszcze się dumnie spięra, jeszcze słówka cedzi ;  
 Ani myśli nieborak, że już w fraszkach siedzi.

## 35.

*Wytrwałość i wesołość.*

Wytrwały burze przestoi,  
Wesoły diabła rozbroi.

## 36.

*Rada z G....*

Cierp jak możesz cicho w domu,  
I nie bądź dzieckiem skarżącym ;  
Zwierż się z jednym smutkiem komu,  
On ci wyjedzie z tysiącem.

## 37.

*Stare przysłowie.*

Zamić każdy przed swym progiem,  
A pan burmistrz pójdzie z Bogiem.

## 38.

*Budzę cię !*

Rozmyślaj, nie zasypiaj, w przeszłości zacienu ;  
Nam służy doświadczenie, nie my doświadczeniu.



## 39.

*Raki.*

Mysł z greckiego klasyka.

„W twym chodzie, rzekła matka, ni sensu ni smaku.  
 Nie rób mi przecię wstydu, ty wyrodny raku!  
 Idź mi naprzód, a prosto!“ — „Więc oświeć przykładem,  
 Pokaż, jak się to chodzi, ja pójdę twym śladem!“ —  
 Ruszają więc oboje, godni podziwienia,  
 Raczym krokiem. — Krytyka natury nie zmienia.

## 40.

*Fraszka i Wielkość.*

Aby umysły wznosił, a pychę pokorzył,  
 Bóg, z nas, fraszek nieszczemnych, wzniosłą ludzkość  
 stworzył.

## 41.

*Duma i skromność.*

Duma w nieszczęściu, skromność w szczęściu służy,  
 Temu, kto na nie przez się nie zasłuży.

## 42.

*Nauka świata.*

Gdy zasługa wzięć się wstydzi,  
Weźmie czelność, i wyszydzi.

## 43.

*Nowy Olimp.*

Gdzie niegdyś córek Feba dźwięczne brzmiały strony,  
Tu, na szczycie Olimpu, kołyszą się dzwony;  
Tamte niebo ku ziemi pieśniami zwabiały,  
Tych głos z ziemi unosi do niebieskiej chwały.

## 44.

*I to coś.*

I w tém podobno szczęścia jakiegóś jest sztuka,  
Gdy kto w troskach, jak może, sam siebie oszuka;  
Gdy, oszukując siebie, i innych uludzi;  
Bo, na oko szczęśliwy, cenniejszy u ludzi.

## 45.

*Do płaczącej.*

Gdym i ja był szczęśliwszy, łatwo lzy się lało,  
Teraz ich i na spiekę cierpień nie zostało;

Śmiechem leczyć je muszę. — Czyliż ten szczęśliwszy,  
Kto się śmieje rozumem, lży serca straciwszy ?

## 46.

*Staropolskie przysłowie.*

Prawdą, jak wodą święconą, skrapiają.  
Jeżeli pokropisz w miarę,  
Uklonią się młode, stare ;  
Ale gdy nadto, wszystkie ci nałają.

## 47.

*Starzec.*

Ku ziemi chyli się chata,  
Podpory, łaty, daremne,  
Ze śniegiem strzecha wylata,  
Szyby wytarte i ciemne.  
Zrzuć już, czasie ! to więzienie ;  
Ptaszek polny  
Wzlećę wolny  
Na wolne przestrzenie.

## 48.

*Mędrcomie świata.*

Zawsze nas z wodzić będą między manowcami,  
Ale na prostej drodze zbłąkają się sami.

## 49.

*Do Muzy.*

Niegdyś ja zdrój rzeźwiący piłem z twojej czary,  
 Dziś już Letą mię dopój, prosi sługa stary.

## 50.

*Natura.*

Próżno cisnąć naturę, która żyje wszędzie.  
 Krzew żywy z twardych murów nawet się dobedzie,  
 Mur go wyżywi; on wdzięczny, liśćmi  
 Mur nieczujący obrami.

## 51.

*Dobra chęć.*

Kiedyś robił, jak przystało,  
 Nie płacz, że się nie udało.

## 52.

*Do mojego stolika.*

Gdy rolników z plugami wywołuje zorze,  
 Ja, zielony stoliku, ja przy tobie orzę.

Tyści moje dziedzictwo; staniesz mi za nią,  
 Gdzie dziatkom chleb obmyślam, lub imię pocziwe.  
 Wyrobnik w dni powszednie; ale w dzień święteczny,  
 W wieczność myślą się puszczam nad ten czas konie-  
 czny.

Tu pańskiej chorągiewki wyśmiewam odmienne,  
 Słiskie możnych fortuny, i klasyków wieńce;  
 A, w przyspieszonym świata zmiennego obrocie,  
 Cichej prawdzie hołduję, i stariej prostocie.

## 53.

*Spoczynek.*

Koniec życia ludzkiego jest końcem dnia właśnie;  
 Im kto szczerzej pracował, tym spokojniej zaśnie.

## 54.

*Udział.*

Im lepszą jesteś częścią stworzenia,  
 Tym więcej cierpisz jego cierpienia.

## 55.

*Z podwórka.*

Gąski miały radę długą,  
 Jedna mądrzejsza nad drugą;

**W tém najgłupszej nie wiedzieć, co się увидziało,  
Wrzasła, i wszystko za nią w błoto poleciało.**

56.

*Sztuka.*

**Potańcujcie, dziewczęta! ucieście nam oczy;  
Wam to wszystko tak zręcznie, i zgodnie, i ładnie.  
Gdy na was patrzę, nie wiem jak szkaradnie  
Wszystko na ziemi się toczy.**

57.

*Stary.*

**Że się zbliżam do kresu, poniekąd się smucę;  
Le cz, choćby wolno było, dalibóg! nie wrócę.**

58.

*Definicja człowieka.*

**Co to jest za stworzenie, gdy pytać się godzi!  
— Coś, zkądśi, kędyś, jakoś i pociś przechodzi.**

## 59.

*Powinność.*

Gdyby cierpiący mocno w wierze nie stał,  
 Toby szczęśliwy wcale wierzyć przestał,  
 Toby się mocny niczego,  
 Słaby obawiał wszystkiego.

## 60.

*Porządek.*

Czyń każdy, w swoim kółku, co każe duch boży;  
 A całość sama się złoży.

## 61.

*Przystawie Chińskie.*

Tam gdzie szabla rdzewieje, a rydel się świeci;  
 Gdzie do kościołów błotem nanoszone progi,  
 A ścieżka trybunalska trawami zarasta;  
 Kędy prochownie próżne, a pełne są brogi;  
 Tam gdzie piekarz w pojeździe, doktor pieszo leci;  
 Gdzie na podsieniach starce bawią się, i dzieci:  
 Tam jest mądrość burmistrza i pomyślność miasta.

## 62.

*Nasza Marynia.*

Uwziął się djabeł, by zgubić Marynię.  
 To ją chciał w przepaść potraćić z góry,  
 To ją w tygrysie nosił pustynie,  
 To ją długimi straszył pazury;  
 Ale Marynia zawsze tryumf miała.  
 Bo swego stróża anioła słuchała.  
 Potem się djabeł przebrał po niemiecku;  
 Słodki jak cukier, układny jak kotek,  
 Pieścił się, kłamał, pochlebiał jak dziecku,  
 Płacząc obmawiał, bo nie cierpiał plotek:  
 Wnet go Marynia za aniołka miała  
 I stróża swego, jak djabła, żegnała.  
 Póki djabeł jest niegrzeczny,  
 Póty nie jest niebezpieczny.

## 63.

*Malżeństwo.*

Rozum w troskach zdziecinniał, więc swój stan odmienił,  
 Wreszcie się z fraszką ożenił.  
 I był ich związek dobrany, niewinny :  
 Rozumna fraszka i rozum dziecinny;  
 Miał pociechę, choć od żony  
 Za nos wodzony.



## 64.

*Spoczynek.*

Pasterka za kwiatami obiega dąbrowę,  
 Ptak, wisząc na gałązce, wabi swą polowę,  
 Oracz sieje na przyszłość, pszczołka szuka miodu;  
 Ja już jedynie drzew chłodu.

## 65.

*Do młodych.*

Smialiście się z jego roli,  
 Więc wam stary na bok zjedzie,  
 I napatrzy się do woli,  
 Jak się też to wam powiedzie?

## 66.

*Sesya.*

Chwal się każda, popisuj, obmawiaj co żywa;  
 A mnie wciąż frazdek przybywa.

## 67.

*Nadzieje.*

Pełno strzałów i hałasu,  
 Biedne pieski naprzód śpieszą,  
 Łamią karki pośród lasu,  
 I zawsze głupie się cieszą,  
 Ze dla nich tyle hałasu.

## 68.

*Krytyka.*

„Tak pisać już niemożna, ostrzegam Wałępana!”  
 — Alboż to ja panienka na bal wymuskana?

## 69.

*Myśl z Szyllera.*

To co czynisz, czyń dobrze; a nie chcąc zawinić,  
 Usiłuj co jest dobre poznawać i czynić:  
 Szczera gorliwość w wszystkiem chce dobre ocalić,  
 Falszywa, pragnie zawsze dobre doskonalić.

## 70.

*O poezji do . . .*

Dziwnie to razem się zrosło  
Z najszlachetniejszą sztuką, najlichsze rzemiosło.

## 71.

*Doskonałość.*

Pół-ksiądz i pół-filozof wciąż za nos się wodzą ;  
Ale światły z pobożnym, jak bracia się zgodzą.

## 72.

*Do pana . . . . .*

Słowami szlachetności zwiódłeś mię, mój panie !  
Więc dziękuję przynajmniej za dobre mniemanie.

## 73.

*Mędrak.*

Skąd ten mędrak miał wziętość, chociaż brednie kryślił?  
— Pisał ciemno, że bredni nikt się nie domyślił.

## 74.

*Pociecha sieroty.*

Ja, sierota swego siola,  
 Matce niegdyś rwałam kwiatki.  
 Ale teraz nie mam matki ;  
 Więc je zbieram do kościoła :  
 Kiedy niemi oltarz stroję ,  
 Czczę ja ojca, matkę moję.

## 75.

*Nędza.**Z Greckiego.*

Nędza rodzi wstyd u świata,  
 Wstyd nędznego umysł tępi ,  
 Stępionych troska przygniata,  
 A troska życie zasępi,  
 Posepność czucie osłabia ,  
 Słabość się w podłość wyradza ;  
 Tak ubóstwo zgubę zwabia ,  
 Tak w nas ginie boska władza.

## 76.

*Góra i Człowiek.*

## G ó r a.

Czego pniesz się po mym szczycie,  
 Samotny, i zlany potem?  
 Na dolinie twoje życie,  
 Między ludzi idź z powrotem.  
 Tam są bracia, siostry twoje;  
 Tu obmyślam ich wygody,  
 Spuszczam ziarna, deszcze, zdroje,  
 Zsyłam cienie i ochłody.

## C z ł o w i e k.

Ach! mnie tęskność tu przywiodła!  
 Widzęc teraz twoje źródła,  
 Cieszę się ziemi widokiem:  
 Lecz i z gór patrzę do góry,  
 Za kraj widzialnej natury;  
 Nieba chciałbym przebyć okiem,  
 Płynąć za tych gwiazd potokiem;  
 Za przechodnie chmury chwytam,  
 O mojego ojca pytam.

## G ł o s.

Świat go w koło opowiada;  
 A lzy twoje, które sączysz,  
 Tęskność, która tobą włada,  
 Świadczą, że się z nim połączysz.

4\*

77.

*Do Mówcy.*

Nie, że tak pięknie mówisz (wyznaję ci szczerze!),  
Ale że cię szacuję, dla tego ci wierzę.

78.

*Wiara.*

Rozum stępuje, szczęście się odmieni,  
Męztwo się z czasem zachwieje,  
Najmilsze zwłędną nadzieje:  
Sama wiara niepożyta,  
W przepaści zbawienie czyta;  
Jéj tylko samej przyszłość się zieleni.

79.

*Urzędnik.*

Gdy się dobrze rządzisz w domu,  
To na ratusz wejdz bez sromu.

80.

*Rady.*

Każdy chce drugimi rządzić,  
Nie dozwala, jak on, błdzić.

## 81.

*Badacze.*

Na rozstajne idą drogi,  
Lecz się w jedne zejdą progi.

## 82.

*Taktyka.*

Gdy cię czarny bies zahaczy,  
To mu ustąp z drogi;  
Gdy się bialo przeinaczy,  
Ty mu pokaż rogi.

## 83.

*Natura.*

Choć już człowiek w przepaść wpadnie,  
To się jeszcze grzebie na dnie.

## 84.

*Z folwarku.*

Nie noś jaskrawej zawiązki ;  
To cię nie poszczypią gąski.

## 85.

*Rachunek dzierżawcy.*

Życie ziemskie pożyczane,  
 A niebieskie obiecane.  
 Coś tu winien, oddaj pracą;  
 Dług niebieski ci wypłacą:  
 Przejdiesz, jak gospodarz prawy,  
 Do dziedzictwa od dzierżawy.

## 86.

*Moje wiersze.*

Bylbym ja coś budował, ale się nie dało;  
 Tak się wszystko na liche fraszki rozleciało.

KAZIMIERZ Z KRÓLÓWKI.





## SAWITRY,

### *Wstęp z Poematu Sanskryckiego.* \*

#### I.

Markandeja \*\*, zwróciwszy się do Króla Yudhisztira, rzekł: słuchaj Królu! opowiem

\* Ustęp niniejszy wyjęty jest z wielkiego poematu epicznego *Mahabharata*, które więcej nad dwakroćstotysięcy wierszy obejmuje, a w starożytności Homera przechodzi. Domniemanym autorem tego poematu jest *Vyasa*, które to nazwisko w sanskrycie znaczy zbieracza. Ustęp Sawitry, ogłosił najprzód professor Bopp roku 1829. Cnoty patryarchalne, najczystsza pobożność, i wdzięki wiosennej poezji młodocianego jeszcze ludu, są ujmującą cechą tego ustępu.

\*\* Osoba opowiadająca w poemacie.

ci o szczęściu i łasce niestęchanej, jakiej niewiasta może zapragnąć, a jakiej dostała Sawitry, córka królewska.

Był w Madras Król pełen cnoty i sprawiedliwości, gościnny, pobożny, obietnic dotrzymujący, ukracający swe żądze, czyniący przepisane ofiary, i ojciec ubogich. Kochały go wszystkie wsie i grody królestwa. Król ten był Aswapaty, szczęściem wszystkich szczęśliwy, bardzo podeszły w lata, a bezdzietny; i dla tego trapiący się starością swoją. Czynił on wszelkie pokuty, w nadziei uproszenia sobie potomstwa; ograniczył się w używaniu, więcej niż *Bramaszari*\*, raz tylko na dzień się posilając; więcej niż stotysięcy ofiar poświęcił Sawitrze.

Tak czynił przez lat ośmnaście; lecz, w roku dziewiętnastym, bogini Sawitry wielką zesłała nań radość. Zjawiła się królowi w postaci cielesnej, występując z ofiarnego ognia i błyszcząc radością. Wtedy owa bogini dészczu, tak mu mówiła:

\* Osoby bezżenne, oddające się wyłącznie pismom Wedy.

— Czystość i wstrzemięźliwość twoja, surowe umartwienia i ofiary twoje, ujęły mię, o królu ziemi! Wybierz łaskę, według twój chęci, ale chroń się postąpić przeciwko cnocie!

— Aby zyskać potomstwo, odpowiedział Aswapaty, czyniłem umartwienia, i spełniałem dobre uczynki; daj mi, bogini! niech mam liczne syny, szczepy licznych rodzin. To życzenie przyjmiesz dobrotliwie; bo mnie Braminowie uczyli, że mieć potomstwo jest cnotą.

— Królu! rzekła Sawitry, znałam już twoje życzenia, i uwiadomiłam o nich wielkiego Przodka stworzeń; za łaską więc tego, który istnieje sam przez się, narodzi się tobie córka pełna krasy i wdzięków: ale nie mów o tej łasce nikomu. Z rozkazu Przodka wszech stworzeń, przychodzę w radości uwiadomić cię o tém.

Król ucieszony odrzekł: *Tak uczynię;* ale, błagając, dodał jeszcze: *Jakże się prędko narodzi?*

Ale Sawitry zniknęła, i on wrócił do zamku. I ucieszony słowem bogini, został w Królestwie, rządząc ludy według sprawiedliwości.

A gdy czas przyszedł, urodziła się córka z oczyma *lotu*; a Król, uradowany że jest ojcem, dopełnił z uniesieniem obrzędów narodzin. Za łaską Sawitry dane, jej poświęcone dziecię, nazwane zostało Sawitrą przez braminów i ojca.

Piękna jak Lakmi, bogini szczęścia, wyrosła młoda dziewczica. A widząc jej kibić wysmukłą, postać krągłą, i złotu podobną\*, mówili mężczyźni: Piękną jest prawie jak córka bogów!

A przecieź żaden młodzian, uderzony jej wdziękami, nie wybrał za żonę dziewczycy z oczyma *lotu*, i gorejącej blaskiem młodości. Wtedy, urosiwszy swe włosy, przyszła do miejsc bogom poświęconych; a złożywszy ofiarę ognia, według obrzędów, długo rozmawiała z braminami. Pozbiérawszy kwiaty

\* Kolor ciała Indyan.

złożone bogom, wróciła do ojca piękna jak bogini Lakmi. A stanąwszy przed nim uklękała, podając kwiaty bogom ofiarowane. I stała przy nim młoda dziewczica kibiei wysmukłej z złożonymi rękoma.

Wtedy pan ziemi, widząc córkę swoją w wieku żenielnym, piękną jak boginię, a przecięż nie żadaną w zamęcie, rozboleł bardzo.

— Córko moja! rzekł, czas wydać cię za męża, a nikt się nie zgłasza. Sama poszukaj sobie męża, równego twym przymiotom i cnocie. Powiesz kogo zechcesz za męża, a dam ci go; wybierz podług serca, bo powiem ci, com wyrozumiał z ksiąg świętych i z ust braminów:

„Ojciec niewydający córki za męża, występny jest; występny jest mąż daleki od swojej żony; występny jest syn, który, po śmierci ojca, nie jest opiekunem dla matki.“

Słyszawszy, co rzekłem, szukaj sobie męża; i zrób tak, abym w oczach bogów nie był naganny.

I król rozkazał jój wziąć wszystkie kolasy podrózne; i odprawivszy ją mówił: Jedź!

Młoda dziewica upadła do nóg ojca, przejęta całą pobożnością i wstydem; ale posłuszna, oddaliła się nie mówiąc.

Wstąpiwszy do kolasy, otoczona starymi radcami, jechała w ustronia pustelników i mędrców starożytnych, mieszkających między lasami. Przebiegła wszystkie ich gaje i stawy święte, gdzie pobożni się czyszcą, składając dary cenniejszym braminom.

## II.

Do króla Madras, przyszedł Narada, syn boski Bramy; i w wielkiej sali pałacu rozmawiał król z gościem niebieskim. A Sawitry, zwiedziwszy święte stawy i samotników mieszkania, wróciła z radcami swymi do domu ojca. Widząc siedzącego obok Narady, pozdrowiła obudwu i skłoniła się nisko. — Gdzież to była twa córka, rzekł Narada do króla Madras, i z kąd teraz powraca? Dlaczego mąż żaden nie wybrał dotąd tej dziewczicy żeniebnej?

— Dlatego wysłałem ją w podróż, rzekł Aswapaty, z której teraz wróciła. Dlatego, synu boski, słuchaj kogo wybrała! A odwróciwszy się do córki rzekł: Powiedz nam wszystko!

Ośmielona przez ojca młoda dziewczyna, tak mówiła boskimi wyrazy:

— Był w Salwa król pełen cnoty, z rodu Khatrias czyli wojowników, nazwiskiem Dyumatsena, który ze starości ociemniał. Miał on syna w wieku dziecięcym, i sąsiedzi, widząc go bezbronnym kaleką, wydarli mu jego królestwo. Wtedy schronił się do lasów z żoną i młodym synem; a zagłębiwszy się w puszcze, oddał się surowym praktykom, ku dopełnieniu wielkiego ślubu.

Syn jego, urodzony w mieście Salwa, a wyrosły w lasach pokutników, jest Satyawan, podobny do mnie z postaci. Niech on będzie mi mężem, rzekłam do siebie. —

Niestety! zawołał Narada — Sawitry ciężko zbłądziła, o królu ludzi! wybrawszy za męża cnotliwego Satyawana. Rodzice jego

mówią prawdę, przeto Braminowie dali mu nazwisko Satyawan (prawdomówny).

— Czy ten królewicz, rzekł Madras, jest piękny, uczony i mądry? albo czy też Satyawan, miłość ojca swojego, jest cierpliwym i rycerskim?

— Piękny jest jak słońce, odrzekł Narada, uczony jak Wrihaspati, rycerski jako Mahendra, a cierpliwy jak Wasadewa (ziemia).

— Jestże ten syn królewski szlachetnym, pobożnym, szczerym, wspaniałym i uprzejmym?

— Doskonałym jest, mówi Narada, i podobien bogu miłości. Pobożnym jest i szczerym, jak Siwi, syn Usinary. Wspaniałym jak Yajty; a jak xiężyc miłym z wejrzenia. Co do kształtu, równać go można dwom Aswinom, synom walecznego Dyumatsena.

Jestto młodzian spokojny, cichy, rycerz zwalczonych namiętności, otwarty, życzliwy, dotrzymywacz obietnic, i stały w postanowieniach. Prawy niezmiennie i w wierze niezachwiany, i wkrótce między najstawniejszych policzon będzie.



— Wyobrazifeś wszystkie jego przymioty, rzekł król Madras do mędrca boskiego; teraz okaż mi wady, jeśli ma jakie.

— Ma w sobie złe jedno tylko, którego niczem oddalić nie można: od dziś za rok, Satyawan, dojdzie kresu swojego życia, i straci postać cielesną.

Król, odwróciwszy się do córki, rzekł: Idź Sawitry! i wybierz innego. Młodzieniec, któregoś wybrała, ma w sobie złe, trujące wszystkie jego przymioty; jak mówi równy bogom Narada: za rok od dziś, ten młodzian, dojdzie kresu swojego życia, i straci postać cielesną.

— Raz tylko w życiu ulegamy przeznaczeniu, rzekła Sawitry; młoda dziewczica raz tylko idzie za mąż, raz tylko mówi jej ojciec: wydaję cię.

Długo lub krótko żyć będzie, czy ma przymioty, lub nie; gdy raz męża wybrałam, nie wybiorę drugiego. Gdy raz wzięłam przed się postanowienie, niech słowa moje z niem się zgadzają; niech z niem zgadzają się czyny, których rozsądek jest sędzią.

— Stały jest umysł twój córki, rzekł królowi Narada; nie masz, ktoby ją odwrócić od szlachetnego postanowienia. Nikt nie ma przymiotów Satyawana, dlatego podobna mi się wybór twój córki.

— Mowa twoja szczerą jest, i przeciw niej, nie mieć nie mogę, odpowiedział król, i na ślub ten zezwolę. Tak, o szczęśny Narada! idę za twoją radą.

— Niech zrękowiny twój córki będą pogodne, odpowiedział Narada, uczynię zadość twym chęciom. Bądźcie wszyscy szczęśliwi. A teraz oddalę się.

To rzekłszy, powstał Narada, i oddalił się do troistego nieba; a król zajął się zaślubieniem swój córki.

### III.

Król przemyślał o ślubie swój córki, i rozkazał poznosić wszystkie rzeczy do obrzędu potrzebne. A potem zebrał starożytne Braminy, kapłany i ofiarniki, wybrawszy szczęśliwą konstellacją.

Przybywszy do lasu Medhia, król ludzi udał się pieszo do pustelników, na czele mając braminów i mędrców królewskich. Tam ujrzał na siedzeniu z ziela Kusa, pod drzewem Sala, wspaniałego xięcia w ociemnieniu. Król Madras, uszanowawszy mędrców królewskich, według przepisanych obrządków, dał się pokornie poznać przez słowa.

Cnotliwy pustelnik dawszy królowi podarek nazwany argha \*, i wskazawszy miejsce siedzenia, po co przychodzisz? zapytał.

Ten uwiadomił go o chęci zawarcia z nim związku, i o zamiarach względem Satyawana. I rzekł mu: Oto Sawitry, młoda moja córka! przyjm ją według jej przymiotów za swoją.

Dyumnatsena rzekł: Pozbawieni królestwa, w tych lasach się kryjąc, prowadzim życie pokutne. Jakże twa córka, godna zamieszkać świetne pałace, zniesie surowość i niewygody życia pustelniczego?

\* Poczesne dawane bogom i gościom znakomitym, składające się z ośmiu rzeczy: ryżu, świętego ziela zwanego durwa, kwiatów, wody w małym naczyniu, i t. d.

— Corkamoja i ja, odpowiedział król z Madras, poznaliśmy rozkosze i troski, bogactwo i nędzę; nie przystoi mi słuchać takich słów twoich. Przyszedłem z mocnym przedsięwzięciem o syna cię prosić; nie zniwecz nadziei temu, którym tu przybył pozdrowić cię po przyjacielsku. Tyś mój równy i sprzymierzeniec, jak ja twój; weź za synową mą córkę.

— Dawno już, odparł Dyumatsena, życzyłem z tobą przymierza; ale teraz nie mam królestwa, rozważ to dobrze!

— Najżywszą moją chęcią jest połączyć się z tobą sprzymierzeńcem cnotliwym w nieszczęściu.

I obadwaj królowie, złączywszy wszystkich braminów puszczy, święcili ślub według przepisanych obrzędów.

A gdy tak król Madras wydał córkę w zamęcie, wrócił do pałacu z wielką w sercu radością.

A Satyawan, pojawiwszy młodą żonę z tylu cnotami, cieszył się wielce; cieszyła się

i ona, mając tego za męża, którego z serca pragnęła.

Skoro ojciec wyjechał, obnażyła się z wszystkich ozdób królewskich; i wzięła na się odzienie z kory drzewa, barwy czerwonej. A uprzejmością swoją, panowaniem nad sobą, i chęcią uprzedzenia życzeń każdego, wszystkich serca sobie ujęła.

Radowała teścinę starannością o ciało, i innymi przymioty młodej małżonki; radowała teścia swą pobożnością i wstrzymanością w mówieniu; słodyczą zaś mowy, wdziękiem głosu, zręcznością, pogodą duszy, i bacznością na wszystko w domu, radowała serce małżonka.

Tak upływał czas w pustyni dla jej cnotliwych mieszkańców. Ale Sawitry stała się smutną: dzień i noc na nogach, przeżyliwała o słowach Narady.

#### IV.

Czas oznaczony się zbliżał, w którym miał umrzeć Satyawan.

Sawitry wszystkie dni jego liczyła, mając ciągle na myśli słowa Narady. *Czwartego dnia ma umrzeć....* rzekła u siebie zacna małżonka. I aby wybawić męża, uczyniła ślub zostania na nogach przez trzy dni i trzy nocy.

Król, dowiedziawszy się o tém, mocno się smucił, a powstawszy, mówił do Sawitry te słowa cieszące:

— Trudną pokutę sobie zadałaś, o córko króla Madras! Stać trzy dni i trzy nocy bezsennie, za wiele jest na ciebie.

— Nie smuć się tém, odpowiedziała Sawitry, ślub ten wykonam, bom postanowiła, a on jest celem życia mojego.

— Nie chcę ja, abys ślub twój łamała, odparł Dyumatsena, powinność moja raczej pragnąć, byś go spełniła.

To rzekłszy szlachetny Dyumatsena umilkł; a Sawitry, zostawszy nieporuszona na nogach, podobną była posągowi świętemu.

Nadeszło przedednie śmierci mężowój, a Sawitry spędziła noc w cierpieniach, ciągle nieporuszona stojąc. „Dziś jest ów

dzień fatalny“, rzekła do siebie, i sprawiła ofiarę Agni (bogu ognia).

A kiedy zeszło słońce, pokutująca Sawitry, skłoniła się starym braaminom, teściowi i teścińej, trzymając ręce złożone w błagalnej postawie.

Wszyscy pobożni co zamieszkali puszcę, pokutą Sawitry przejęci, czynili za nią modły i śluby.

*Tak niech się stanie!* Tak Sawitry, zatopiona w rozmyśle, przyjęła do duszy słowa i modły pokutujących. Każda godzina i każda chwila, przypominała córce królewskiej słowa Narady, i coraz więcej cierpiała.

Wtedy teść i teściuina Sawitry, mówili ze łzami do niej, nieporuszonej w smutku: Ślub twój spełniony, czas się posilić, pośpiesz się z nami!

Sawitry odpowiedziała: Gdy słońce zajdzie, jeść będę; bo wtedy ślub mój się skończy. Tak postanowiłam, w tém wytrwam.

Potém Satyawana wziął siekierę na plecy chcąc się udać do lasu. Ale Sawitry rzekła

do niego : Nie chodź sam do lasu po drzewo ; ja pójdę z tobą , bo żyć bez ciebie nie mogę .

Satyawan rzekł na to : Dotąd jeszcze nie byłeś w lesie , drogi będą ci przykre , osłabiona postem i staniem , jak możesz iść ze mną pieszo ?

— Nie jestem osłabiona postem i staniem , odrzekła Sawitry , mam dosyć siły , nie broń mi z sobą .

— Jeżeli tak jest , rzekł Satyawan , to pójdź ! Pożegnaj moich pobożnych uczycielów \* , aby żadna wina nie była na tobie .

Sawitry skłoniła się , i , mocna w postanowieniu , tak mówiła do teściny i teścia : Mąż mój idzie do wielkiego lasu szukać owoców ; chciałabym pójść z nim za wolą ojca i matki , bo zostać bez niego nie mogę . Już więcej roku nie wyszłam z mieszkania ; radować się będę , patrząc na drzewa kwitnące w lesie .

— Odkąd Sawitry opuściła dom ojca , by z nami mieszkać , rzekł Dyumatsena , nie

\* Ojca i Matkę .



pomnę, aby dała poznać jaką chęć albo życzenie; przeto zezwólmy jęj na to, czego zapragnęła. Ale córko! nie zbaczaj z Satyawaniem z drogi, którą iść trzeba.

Młoda i szlachetna małżonka, otrzymawszy pozwolenie rodziców, puściła się w drogę z radosnym małżonkiem, kryjąc ból w sercu.

Młoda niewiasta dużemi oczyma oglądała rozmaitość lasów pustyni, napełnionęj stadami pawiów, które ostrym krzykiem jęj cichość budziły; widziała rzeki błyszczące, i najpiękniejsze drzewa kwiatami osute. Przypatrzył się! mówił jęj Satyawan słodkim wyrazem.

Ale szacowna żona patrzyła na męża, i widziała go idącym i zdrowym w godzinę śmierci, którą przepowiedział pobożny Narada. Szła dalej: a gdy szła za mężem, droga była jęj łatwą; lecz serce jęj rozdarło było myślą o chwili straszliwej.

## V.

Satyawan, obok swój towarzyszkę, uzbierał w lesie koszyk owoców, a potem ciął drzewo siekiarą. Ale wnet twarz jego pot oblał; a, osłabiony wielce, uczuł ból głowy.

Zbliżył się do miłej małżonki, i słabym rzekł głosem: O Sawitry! ciało moje i wnętrze zdają gorąć. Zle się czuję, o miaromówna! Chciałbym się przespać, bo mi sił zbywa.

Sawitry, zbliżona do męża, usiadła obok, i głowę jego na swoje schyliła łono. I młoda pustelnica, przejęta słowami Narady, widziała przed sobą chwilę zapowiedzianą. I wraz postrzegła człowieka w szacie czerwonej, z głową kędzierzawą, twarzy miłej, a jaśniejącej jak słońce. Miał barwę czarno-żółtawą, oczy czerwone; a w ręku niósł powróż. Postać miał straszną; a stanawszy obok Satyawana, chciwie nań patrzył.

Gdy go Sawitry postrzegła, wnet się zerwała; a złożywszy lekko głowę męża, na

łonie trzymaną, w postaci błagalnej, ze drżeniem w sercu, tak przemówiła:

— Poznaję cię bogiem, bo postać twoja nie jest śmiertelną. Powiedz, o dobry boże, ktoś jest i co zamýślasz?

— Poświęciłaś się dla męża i dla praktyk pobożnych, przeto ci odpowiem Sawitry! rzekł nieznamomy. Wiédz! piękna młoda niewiasto, żem jest bóg śmierci. Życie twojego męża już dopełnione, więc wprowadzę go w moje królestwo.

Sawitry rzekła: O ty, dziedzicu najwyższej błogości! mówią, że to zwykle posłańcy twoi ludzi uprowadzają, pocóż sam dziś przychodzisz, o boże najpotężniejszy?

Tak zapytany, pełen litości dla Sawitry, odpowiedział: Mąż twój młody, enolliwy, który jest morzem pięknych przymiotów, nie miałby cześci należnej, gdyby go sługi moje ztąd wiodły; przeto sam po niego przychodzę.

Potém Jama, wydobywszy z ciała Satyawana duszę, związał ją mocno: wtedy wyszło życie z ciała Satyawana, znikł oddech, za-

gasły oczy; a zwłoki, bez ruchu, smutne były do widzenia. Ale Jama, z duszą związaną, ku południowym stronom się udał.

Sawitry, ociążona boleścią, szła za Jamą; Sawitry, która, w poświęceniu się dla małżonka, zniosła dla niego posty i najsurowsze pokuty.

Ale Jama zatrzymując ją: — Wróc się, wierna Sawitry, i poświęć ofiarę za umarłego. Wszystkoś czyniła, coś winna dla męża; przyszedłaś tak daleko, jak tylko mogłaś.

— Gdzie ty mi męża prowadzisz, rzekła Sawitry; gdzie on będzie, ja pójdę za nim: to jest wieczna moja powinność. Zaklinam cię na surowe moje pokuty, na moje podanie się pokorne, na miłość męża mojego i dobroć twoję, nie broń mi tego!

Mędrcomie, hołdujący prawdzie, zwią przyjaźń *Saptapadam* (siedmiokroczną), kładąc przyjaźń nad wszystko. Ja ci powiem w dwóch słowach, wysłuchaj:

• Nieświadomi, nie oddają się cnocie, ni prawdzie; ludzie z nauką pełnią cnotę:

dlatego dobrzy nazywają cnotę najwyższém dobrem.

Od chwili, gdy dobry zaznał cnotę, inni dobrzy go naśladowają. Nie pragną oni raz lub dwa razy zaczynać to życie ziemskie. Przeto dobrzy nazywają cnotę dobrem najwyższém.\*

— Wróć się Sawitro! odrzekł Jama. Przyjemno mi to, co mówisz. Wybierz sobie łaskę, wyjąwszy życie twojego męża; a mieć ją będziesz natychmiast.

— Mój teść utracił swoje królestwo, pozbawion wzroku, mieszka w leśnej pustyni. Niech ten król silny, równie słońcu gorejącemu, otrzyma wzrok za łaskę twoją.

— Tak będzie, odpowiedział Jama. Ale ta droga, tobie strudzonej, wiele jest przykrą; powróć, abyś więcej jeszcze nie wycierpiała.

— Jakżebym ja się strudziła, idąc za moim mężem? Gdzie on jest, ja być przy nim

\* Te wyrazy Sawitry bardzo są ciemne. Pochodzi to zapewne z nauk mistycznych o przyszłym życiu i duchach.

powinna. Gdzie męża mego prowadzisz, tam moja droga. Rządco bogów! raz jeszcze słuchaj słów moich:

Komu raz dozwolono z dobrymi się spotkać, zapragnie tego raz drugi i trzeci; mówią, iż to jest przyjaźń: a pożytecznym jest spotkanie się z dobrymi, dlatego z dobrymi zawsze chcemy się łączyć.

— Słowa, które mówisz, rzekł Jama, oznaczają uczucia cnotliwe i wyższy rozum. Słowa te, bez owocu nie będą. Wyjąwszy życie Satyawana, oświadczyć drugie życzenie, wyborna niewiasto!

— Teś mój czcigodny, utracił niegdyś królestwo. Niech je odzyska, i niech nigdy z drogi prawości nie zboczy. Oto jest drugie moje życzenie.

— Król ten, odpowiedział Jama, odzyska wkrótce swoje królestwo, i z drogi prawości nie zboczy. Otóż spełnione twoje życzenie, córko królewska! A teraz powróć już, powróć, bo dużo cierpisz w tej drodze.

Sawitry: — Stworzenia wszelkie przykute są do twojej władzy najwyższej; imając je,

rzządzisz niemi, bo z własnej woli nie poddają się: dlatego, o boże! zwiesz się Jama, Imaczem. Słuchaj jeszcze słów, które ci powiem:

Życzliwość dla wszystkich istot w czynach, myślach i słowach, ludzkość i miłosierdzie, są dobrych wiecznym życiem.

A tak ten świat najwięcej rządzony jest siłą; ale dobrzy wstawiają się za nieprzyjaciół, którzy zyskują miłosierdzie.

— Mowa twoja, rzekł Jama, tak jest miłą, jak woda cierpiącemu gorączkę. Wyjąwszy jeszcze życie Satyawana, wybierz łaskę, a mieć ją będziesz natychmiast.

— Ojciec mój, król ziemi, rzekła Sawitry, nie ma żadnego syna. Niech ojcu mojemu urodzi się sto synów, szczepów tyluż rodzin. Oto trzecie moje życzenie.

— Niech sto synów kwitnących, szczepów tyluż rodzin, urodzi się ojcu twojemu, rzekł Jama. A teraz powróć, bo droga twoja będzie bardzo daleka.

Droga ta, odrzekła Sawitry, nie jest daleką gdy idę z mym, bo miłość moja ku

niemu dalej prowadzi; idąc więc dalej, słuchaj jeszcze słów, które ci powiem:

Ty jesteś synem słońca, które ogrzewa całą naturę, dlatego mędrzy zowią cię Wajwaswata, potomkiem słońca; ty sprawiedliwością rządzisz stworzenia, i przeto zowią cię także królem sprawiedliwości (Dhamna - radja).

Człowiek nie tyle ufa sam sobie, ile dobrym; przeto szczególniej pragnie spoczywać na łonie dobrych. Z miłości dla wszystkich istot, rodzi się ufność; dlatego dobrzy najwięcej mają ufności.

— Słowa twoje, o młoda niewiasto! są takie, że im równego nie nie słyszałem, rzekł Jama. Cieszę się, iż czwartej jeszcze dozwalam ci prośby, wyjąwszy życie Satyawana. Powiedz, a odejdz!

— Niechaj mam z Satyawaniem stu miłych synów, szczepów tyluż rodzin, dzielnych, wspaniałych. Oto czwarte moje życzenie.

— Stu synów dzielnych, odważnych, radujących serce, mieć będziesz, młoda niewia-



sto! rzekł Jama. Ale teraz już wróć, bo droga daleka jest ci bolesną.

Sawitry: — Dobrzy idą zawsze drogą cnoty; dobrzy nie mdleją, nie nikną; łączenie się dobrych z dobrymi owoc wydaje; dobrzy nie wrażają trwogi dobrym.

Bo dobrzy prowadzą słońce przez prawdę; dobrzy utrzymują ziemię; są drogą dla przyszłych stworzeń, o królu! I na łonie dobrych, dobrzy wniwecz nie idą. Dobrzy pracują dla innych, nie mając w myśli wzajemnych dobrodziejstw. Łaski, świadczone ludziom nie są próżne; dobrodziejstwo nie znika, ani część mu należna. O ile trwałe są umartwienia i pokuty, jakie dobrzy sobie zadają; o tyle dobrzy zbawicielami są ludzi. — Im więcej mówisz, o duszo cnotliwa i wdzięczna, pełna powabów i szlachetności, tém większą jest miłość moja ku tobie, rzekł Jama; wybierz łaskę nieporównaną, o żono, kochająca męża świętą miłością.

Sawitry: — Nie uczyniłeś, jak dotąd, żadnego warunku méj prośbie, o ty! co dajesz chwałę, słysz moje życzenie: Niech mój

Satyawan żyje! bo sama, bez męża mojego, jestem jako bez życia. Nie chcę bez męża żadnej radości, bez niego nieba nawet nie pragnę. Stu synów mi obiecałeś, a mąż ma mi być wydarty! Wybićram łaskę: niech mój Satyawan żyje. A tak sprawdzi się twe słowo, że stu synów mieć będę.

— Tak będzie! odpowiedział Jama, syn słońca, król sprawiedliwości, odwiązując powróż, na którym trzymał duszę Satyawana; a pełen radości rzekł do Sawitry:

— Oddaję ci męża, tobie, pociecho rodzi, oddaję w całości zdrowym i szczęśliwym. Dożyje z tobą lat czterystu; przez cnoty swoje i dopełnienie ofiar, wielką sławą cieszyć się będzie. Z tobą mieć będzie stu synów; a ci wszyscy będą królami, bohaterami, pomiędzy swojemi syny i wnuki. Lata życia twój, przyznane tobie i jemu, zwać się będą twojém imieniem. Rodzice twoi stu synów mieć będą.

Imię ich będzie Malavi, Malava, czyli potomkowie Malavi Malava; ci będą mieć swoich synów i wnuków. Bracia twoi policzą

się do kasty Khatrias, czyli wojowników, i bogom podobni będą.

Te łaski zapowiedziawszy, król sprawiedliwości, wrócić się kazał Sawitrze; sam inną stroną poszedł do swego pałacu.

Sawitry znalazła wnet nieżywe zwłoki męża swojego. Widząc je rozciągnięte na ziemi, zbliżyła się; a podniósłszy głowę męża na swoje łono, trzymała ją siedząc.

Satyawan odzyskał przytomność, i opowiadał żonie, jak wrócił z swojej podróży, i rzekł:

— Długo spałem, czemuś mię nie obudziła? Gdzie jest ten czarny człowiek, co mię ciągnął za sobą?

— Długo spałeś na mojem łonie, o pierwszy z ludzi, rzekła Sawitry. Bóg Jama, imacz śmiertelnych, już się oddalił. Wyszedłeś z omdlenia i ze snu, o synu królewski! Jeśli wstać możesz, zobacz, jaka noc ciemna i straszna!

Satyawan, zyskawszy przytomność, i powstawszy, jakoby ze snu błogiego; rozważając niebo i zakręty lasu, rzekł:

— Przyszedłem tu z tobą zbierać owoce, a, ścinając drzewo, uczułem gwałtowny ból głowy. Nie mogąc stać dłużej na nogach, zasnąłem na łonie twojem. Otóż wszystko co mogę pamiętać, o miła moja! Dusza była mi zapewne wyrwaną podczas snu mego, kiedyś mię strzegła; bo widziałem potężnego człowieka, w strasznej ciemności. Ach! gdybyś ty widziała tego człowieka! Powiedz mi, czy ja go we śnie tylko, czy widziałem w istocie?

Wtedy rzekła Sawitry: Noc coraz ciemniejsza; jutro opowiem ci wszystko, jak się to stało, synu królewski! — Wstań, wstań! i bądź pozdrowion. Pomnij, przyjacielu, na naszych rodziców! ciemna jest noc; a słońce nierychło wróci.

Nocni podróżni (dzikie zwierzęta) w koło nas się snują, a ryk ich przeraża. Słychać szelest liści pod ich nogami. Szakale, przeciągając ze wschodnich do zachodnich krain, ryczą przeraźliwie, aż serce martwieje we mnie.

— Okropny jest ten las, cały osłonięty ciemnością, rzekł Satyawan; nie można rozpoznać drogi, ani wrócić do domu.

— Otóż widzę, rzekła Sawitry, i las się palił: to drzewo wyschłe, jeszcze gore; pobudzone wiatrem, jeszcze niekiedy strzela iskrami. Pójdę, poszukam w nim ognia, i płomień rozniecę. Oto jest ogień, rozweś się nieco. Jeżeli nie będziesz mógł iść do domu, poznam, żeś jeszcze chory.

Jutro rano, gdy się rozwidni, wrócim, gdy zechcesz; a dziś jeszcze zostanemy tu na noc.

— Już teraz czuję się dobrze, rzekł Satyawan; pragnę, przy twój pomocy, zdążyć do matki i ojca: bo trzeba, abym ich przed wieczorem zobaczył. Od wyjścia naszego, kilka już dni minęło; smutna rodzicom niebytność moja, a matka szuka mnie z mieszkańcami pustyni. Zasmuceni bardzo, rzekną, gdy mię zobaczą: „Jakże późno powracasz!“ Co oni teraz cierpią bezemnie!

Niegdyś w starości swojej, czuwając w nocy, rzekli mi także wzruszeni i smutni:

„Ciebie pozbawieni, o synu! nie moglibyśmy żyć dłużej; i pókiś ty żywy, póty tylko życia naszego. Tyś podporą zgrzybiałych rodziców, i ojca niewidzącego, tyś wsparciem rodziny naszej, na tobie ciężą ofiary przodków, tyś chwata i potomstwo nasze.“  
Niewidzący mój ojciec pyta o mnie teraz mieszkańców, jednego po drugim; a matka idzie za szukającym mężem, cierpiąca i słaba.

Tak mówił młodzieniec kochany, i kochający rodziców. A potem, podniósłszy obie ręce ku górze, płakał bardzo, pogrążony w boleści.

Tak cierpiącego widząc Sawitry, mówiła, ściągając lekko łzy z jego lica:

— Jeślim czyniła pokutę i miłosierdzie, niech noc szczęśliwa zesłaną będzie rodzicom twoim i tobie. Nie pomnę, abym wyrzekła kiedy słowo wyszukane, albo kłamliwe; przez tę to prawdę żyje dziś mój teść i moja teściuna.

— Tęsknię do moich rodziców, rzekł Satyawan; śpiesz się, Sawitry! abym ich widział

nim umrę; bo prawdziwie, o piękna moja! blizkim śmierci się czuję. Jeśli kochasz sprawiedliwość, i mnie żywym chcesz widzieć, śpieszmy ku szczęsnemu ojców ustroniu!

Sawitry wstała natychmiast, i wnet, szczęśliwa niewiasta, zgarnawszy swe włosy, pomogła mężowi wstać z ziemi. Podniósłszy Satyawana, pieściła go; a on, rzuciwszy okiem na całą naturę, pojrzał na swój koszyk. Ale Sawitry mu rzekła:

— Jutro rano uzbiérasz owoców; dziś, gdyś jeszcze słaby, poniosę twoją siekierę.

Zwiesiwszy potem ciężar koszyka na gałęzi z drzewa, wzięta siekierę, i szła za mężem, jaśniejąc radością. I piękna niewiasta położyła lewą rękę męża na lewém swoim ramieniu, obramiwszy go ręką prawą, szła dalej, czarująca w swym chodzie.

Satyawan rzekł do niej: — O jak często przebiegałem te ścieżki, trwożliwa niewiasto! Znam je dokładnie. Po świetle księżyca, przebijajacém między gałęzmi, poznaję ścieżki, któremiśmy przyszli, i gdzieśmy

owoce zbierali. Wracaj ze mną, o miła! ścieżką, którąśmy przyszli. Tu, blisko drzew Palassy, jest rozstajna; idź tą ku północy, i śpiesz się! Teraz czuję się silnym, pośpieszmy widzieć rodziców.

Tak mówiąc, śpieszyli ku pustelników mieszkaniu.

## VI.

W tym czasie Dyumatsena odzyskał wzrok, i widział wszystko około siebie. Obiegłszy całe pustelnictwo z żoną swoją Sajwią, smucił się bardzo nieobecnością syna. Przeszedłszy wszystkie zakątki, rzeki, gaje i święte stawy, oboje małżeństwo błądzili noc całą, syna szukając.

Usłyszawszy odgłos jakowy, myśląc, że to głos syna, wołali: To jest głos syna, wracającego z Sawitrą!

Zranieni, z krwawemi stopami, z członkami odartemi przez ziele Kousa i ciernie, tak się błąkali, iżby ich wzięto za pozbawionych zmysłów.



Wtedy znaleźli ich wszyscy braminowie, mieszkający w pustyni; ci otoczyli ich, cieszyli, odprowadzając do domu.

Tu Dyumatsena, otoczony małżonką i mądrymi starcy, rozpogodził się nieco ich powieściami, któremi tęskność jego zagadać chcieli.

Ale wnet oboje rodzice wrócili do smutku, spomniawszy sobie dzieła swojej młodości, i wołali te smutne słowa: — Ach! synu, i kochana synowo! gdzieście teraz! — Równie jest prawdą, rzekł bramin Suwartha, iż żona jego Sawitry dopełnia pobożnych uczynków, jak to, że żyje Satyawan.

— Czytałem księgi Wedy, Angas, rzekł Gautama, i wiele zadawałem sobie umartwień; młodość moja była czystą, co cieszyło mojego *guru* (ducha stróża) i boga Agni. Tym sposobem znam wszystkie myśli i przeznaczenia śmiertelnych. Dlatego, pamiętaj tę prawdę: Satyawan żyje.

→ Słowa, które wyszły z ust myślącego, tak są prawdziwe, jak to, że Satyawan żyje,

rzekł jeden uczeń; słowa jego nigdy nie zwiodyły.

— Jako Sawitrę, rzekli synowie, zdobią wszystkie przymioty, tak pewno jest, że Satyawan żyje.

Tak, i podobnie, wszyscy pustelnicy kolejno mówili; a ich głosem rozpogodzony Dyumatsena, patrząc na jednego po drugim, stał się prawie bez ruchu, między tęsknotą i pocieszaniem.

W tym właśnie czasie Sawitry i Satyawan przyszli do pustelniczą, pełni radości i szczęścia. Wtedy braminowie rzekli do Dyumatseny: — Szczęśliwy powrotem syna i córki, równie jak wzroku, potrójnie szczęśliwy jesteś; i więcej jeszcze cię czeka.

A zapaliwszy ogień, wszyscy braminiowie zgromadzili się około Dyumatseny, króla ziemi. Sajwia, Satyawan i Sawitry, zostawszy na stronie, zaproszeni przez braminów, zasiedli, wszelkich cierpień zbawieni. Wtedy wszyscy mieszkańcy lasu, siedzący z królem, tak mówili synowi tego, który panem jest ziemi:

— Twój ojciec i matka, i my wszyscy, cierpieliśmy, tęskniąc bez ciebie; czemuż tak późno wracasz z twą żoną, synu królewski?

— Za wolą ojca, rzekł Satyawana, wyszedłem z Sawitrą moją; ale, rąbiąc drzewo, uczułem ciężki ból głowy. Zasnąłem, i spałem; nie wiem jak wiele, ale wiem, że nigdy tak długo. Ta jest tylko przyczyna, że późno wracam.

— Twój ojciec nagle wzrok odzyskał, rzekł Gautama; przyczyny tego, jeżeli nie wiesz, powie ci Sawitry. Pragnę ja słyszeć cię, Sawitro! bo ty wiesz przeszłość i przyszłość. Ty jaśniejiesz, jak bogini Sawitry. Ty wiesz, przez co Dymatsena widok odzyskał; a tak powiedz nam prawdę, jeżeli w tém tajemnica nie jest potrzebną.

— Wiesz już wszystko, rzekła Sawitry, i prawdziwem jest twe domniemanie. Nie mam potrzeby tać, słuchajcie więc, co powiem:

Śmierć męża mojego przepowiedział mi wielki prorok Narada; nadszedł właśnie dzień ów fatalny, i dlatego nie chciałam męża

opuścić. Jama zbliżył się właśnie do niego w chwili, gdy zasnął. Pojmał go na postronku, i wiódł w krainy duchów i przodków. Ale ja błagałam tego boga, słowami prawdy. Pięć łask mi przyobiecał, które wam powiem:

Teść mój odzyska wzrok, i swoje królestwo, ojciec mój mieć będzie stu synów, i ja sto, a mąż mój lat czterystu dożyje; bo, abym uprosiła życie męża mojego, ciężkie śluby spełniłam.

Opowiedziałam wam wszystko po prawdzie. Wielkie cierpienie, z obawy o męża, zmieniło się w wielkie na przyszłość wesele.

Mędrcom zaś rzekli: — Szlachetna niewiasto! obdarzona cnotami, przez twoją pokutę i umartwienie ciała, rodzinę króla ludów wydobyłaś z nieszczęść i ciemnej przepaści.

Gdy tak, zgromadzeni mędrcom, wielbili i czcili najcnotliwszą niewiastę, pozdrowiwszy króla ludzi i jego syna, udali się na spoczynek pełni wesela.

## VII.

Gdy noc upłynęła, i słońce promienisto wschodziło, wszyscy pobożni pustelnicy zgromadzili się. I mędrcewie królewscy winszowali Dyumatsenie szczęścia, które Sawitry zrządziła.

Wnet poddani królewscy przyszli ze Salwy, i oznajmili, że wszyscy jego nieprzyjaciele przepadli. U wszystkich poddanych jedna myśl była: widzący, czy niewidzący, on królem naszym niech będzie!

— Z tém postanowieniem wysłani jesteśmy, o królu ludzi! Te wozy zaprzężone, tabory, i wojska, w czworobok ustawione, są na twe rozkazy. Sława i szczęście królowi! Radosny tryumf czeka cię w mieście, ojców twoich dziedzictwie.

Ale poznawszy, że król przewidział, i że kwitnie nową młodością, schylili głowy, otwartszy oczy z wielkim podziwem.

Wtedy król, skłoniwszy się nisko starym braminom, i hołd ich przyjmawszy, szedł ku miastu, obok Sajwii i Sawitry. Wiezion

był na wozie tryumfalnym przez lud, wśród wojska.

Potem porohitas, czyli kapłani obrzędni, pełni radości, poświęcili króla Dyumatsena przez namaszczenie; namaścili także i jego syna, następcę korony.

Sawitry wydała z czasem stu synów, pełnych sławy, równych bogom, nie cofających się przed niebezpieczeństwem. Miała także stu pięknych i dzielnych braci, synów Aswapaty, króla Madras i Malavi.

Tak ojca swego, męża z całą jego rodziną, wybawiła Sawitry. Podobnie was wszystkich wybawi, jako bogini Sawitry.

Vajsmapajana rzekł: Tak Panduidowie (dziedzice Pandu), przez wspaniałego Markandeja \* uczczeni, zostawali w lesie Kamyaka, i wybawieni zostali z swojej niedoli.

Kto tej powieści o Sawitry z uszanowaniem wysłucha, ten, szczęśliwy i pełen radości, smutków się swoich pozbędzie.

KAZIMIÉRZ Z KRÓLÓWKI.

\* Opowiadacz poematu.

## MATYLDA I GUSTAW,

*Opowieść.*

Młoda i piękna Matyllda zaledwie liczyła osiemnastą wiosnę, kiedy już porzuciła dom rodziców. Oddawała swą rękę bogatemu, młodemu Gustawowi. Świetne były weselne gody; licznie zgromadzeni krewni i przyjaciele państwa młodych, błogosławili im szczerze; zewsząd słychać było życzliwe głosy. Wpółśród tych radosnych

uniesień, jedna tylko twarz była zasmucona, jedno oko łzą zroszone. Matka Matyldy, nie bez boleści widziała zbliżającą się chwilę, która ją miała rozłączyć z córką. Tę młodą parę miłość zobopólna kojarzyła; oboje byli obdarzeni przymiotami serca i umysłu; Gustaw majątny, od nikogo nie zawisty, nader łagodnego charakteru: wszystko więc wróżyło pomyślność jedynaczce; lecz serce matki zawsze trwożliwe, zawsze drży o szczęście dziecka.

W parę dni po ślubie, opuściła Matylda te miejsca, gdzie lata niewinne spędziła; gdzie prawie żadna chmurka nie ómiła jój pogodnego życia. Ścisnęło się serce Matyldy, gdy się żegnała z domownikami; a łzy rzewne płynąc z jój ocz poczęły, gdy po raz ostatni rzuciła się do nóg matki. Smutna siada do powozu; lecz jedno spojrzenie Gustawa, jedno czułe ręki ścisnięcie, rozpędza z twarzy smutek; a na jego miejsce radość osiada. O! matka nie tak się łatwo pocieszyła, nikt w jój sercu nie zastąpił miejsca ukochanej córki.



Przyjeżdżają do Warszawy. Wstępuje Matylda w progi domu świetnie urządzonego. Salon okazały, szereg pokoi wygodnie rozłożonych i przepysznie wymeblowanych: to widzi na pierwszy rzut oka. Liczne gromno służących uwija się, chcąc uprzedzić żądania młodej pani. Zdaje się Matyldzie, że jest w zaczarowanym świecie.

Szybko mijają dni pierwsze. Sami tylko sobą zajęci, ani pomyślą, że są ludzie, o których zapomnieć nie trzeba. Gustaw najprzód ocknął się z tego snu lubego, i rzekł do młodej małżonki: „Moja Matyldziu, teraz musimy wizyty pooddawać: ja mam dużo przyjaciół; gniéwaliby się, gdybym im mego bóstwa nie ukazał.“ Przystąpiła chętnie Matylda. Zaczynają się wizyty, rewizyty; z tego wynikają zaprosiny na obiady, wieczory: odmówić niegrzecznie; chociaż z musu, trzeba jechać. Nie raz mówili do siebie: „Lepiejby nam w domu było samym: ale cóż robić, kiedy tak proszą, tak nas kochają; trzeba im dogodzić. Pó-

źniej inaczej czas rozłożymy, to tylko pierwsze chwile.“

Coraz jednak gorzej było. Więcej przybywało znajomości; teatr, koncerty, wieczory: tego wszystkiego opuścić nie można.

Dotąd Gustaw nie grywał w wista; kawalerowi to przebaczone: ale żonaty, czy to być może? „Dziwakiem cię wszyscy nazwą, ucz się Gustawie.“ Tak do niego przemawiali przyjaciele. Usłuchał ich rady, bo się bardzo obawiał przydomku dziwaka. Wszystkie więc wieczory trawił przy zielonym stoliku. Matylda zaś, otoczona gronem wielbicieli, bawiła się, śmiała; zdawała się być upojona rozkoszą. Jednak czuła jakąś czczość w sercu, nie raz mówiła sama do siebie: „Wszakże jestem szczęśliwa: Gustaw mnie kocha, tak jak dawniej; ja go równie czule. Czegoś przecież mi brakuje. Nie są to już te pierwsze dni naszego połączenia; nie są nawet te, którem na wsi pędziła, chociaż tam nie byłam tak bogatą. Ja muszę być słabą, trzeba się poradzić.“ Radzi się biedna Matylda bie-

głego lekarza. On mówi, że to spazmy, i na nie ją leczy; każe pić brzydkie lekarstwa, i oddawać się jeszcze większym rozrywkom, bo samotność zabija w tej chorobie.

Czasem też Gustaw zastanowił się, że mogą być złe skutki z tego, iż żonę ciągle otaczają, na wszystkich zgromadzeniach, młodzi ludzie; pod pozorem więc słabego jej zdrowia, prosi, aby rzadziej z domu wyjeżdżała. Słucha rad męża, zostaje jeden wieczór. Lecz cóż? sama! Gustaw nie mógł opuścić party wista; bo z pewnością na niego rachują. Biedna Matylda nudzi się, nie wie sama do czego się wziąć, odwykła od zatrudnień domowych; nie ma żadnej roboty, bo jej przyjaciółki mówiły: „Po co masz sama robić? Tak jesteś bogatą; wszystko lepsze dostaniesz w magazynie.“ O! ten wieczór rokiem jej się wydawał. Gustaw powraca bardzo późno, żona mu wymawia; ztąd nieporozumienia, niesnaski. I tak jeden dzień za drugim mijał. Już Gustaw nie był swęj żony najlepszym przyjacielem, ona miała inne po-

wiernice; on znowu mnóstwo przyjaciół. Nie raz biedna Matyllda, wśród świetnego towarzystwa, twarz miała wypogodzoną; na ustach spoczywał uśmiech: lecz gdy do siebie powróciła, rzewne łzy wylęwała. A nad czém? Nad niestałością Gustawa! Sądziła, że on ją przestał kochać; bo wszędzie mu lepiej, niżeli przy żonie. Gustawa te same dręczyły myśli. I tak ci, do których się uśmiechało szczęście, przepędzili lat pięć w ciągłych udręczeniach.

Wiemy jak fortuna niestała, jak mało na nią rachować trzeba; a tém bardziej, gdy się w jaki dom nierząd wkradnie. Matyllda bywała po najpiérwszych domach w Warszawie, musiała więc się stosownie ubierać: niech Bóg broni jedną suknią dwa razy włożyć na siebie, trzeba coraz inny strój zmieniać; to szale, pióra, kwiaty, i inne rzeczy. A jakże to wszystko wiele kosztuje.

„U innych bywamy na wieczorach, czy podobna także nie przyjmować?“ Dawali przeto bale, obiady, wieczory; a zarządzeniem wszystkiego, służący się trudnili:

Matylda myślała jedynie, jak się wystroić i przyjmować gości. Gustaw, prócz tego, tracił jeszcze ze swęj strony: po restauracyach dawał obiady, jeździł na polowanie, spacer; tam bywały sute śniadania, podwieczorki, a wszystko jego kosztem; przytém grał grubo w karty. Wkrótce więc, przez nadużycie zarządców, ubywało intrat; trzeba było długi robić, opłacać znaczne procenta: dość, że zupełnie postradali znaczny majątek.

Wtenczas to matka Matyldy pisze do nich: „Wprawdzie mój domek wiejski bardzo szczupły; ale znajdzie się jeszcze w nim miejsce dla moich dzieci. Przyjeżdżajcie; czeka tu na was serce, któremu podobnego, napróżnobyście wśród wielkiego świata szukali.“

Przeczytawszy, ze łzą w oku, zbliża się Matylda do męża; podaje mu list matki, i rzecze: „I cóż ty na to Gustawie?“

Gustaw zadumał się chwilkę, a potém rzekł: „O Matyldo! wyjeżdżajmy, wyjeżdżajmy co prędzej; powietrze miasta nam

nie służy.“ Wkrótce się wybrali, i niezadługo ujrzeni się w objęciach drogiej matki.

Po pierwszym rozczuleniu, Matylda rzekła do matki: „O droga mammo! jakże twoja córka nędzne, przez te pięć lat, prowadziła życie! Jeszczem młoda, a zdaje się, że już straciła wszelkie prawo do szczęścia. Gdzie się podziały te błogie dni, przy tobie spędzone?!“

„Znajdziesz je znowu tutaj, ja je zachowałam dla ciebie.“

Pierwsze dni, po przyjeździe, zeszyły na wzajemnych zwierzaniach. Lecz matka, chcąc ustalić szczęście dzieci, pragnęła każdą chwilkę ich życia zająć użytecznie. Przyszła do córki i rzekła: „Moje dziecko, ja już w tym wieku, że wszystkiemu w gospodarstwie sama wydołać nie potrafię; weź ty na siebie zarząd domu.“ Przystąpiła na to Matylda. Zrazu trochę jej było przykro, bo trzeba bardzo rano wstawać: o czwartej już wszyscy na nogach być musieli; a cóż dopiero gospodyni. Co wieczór, nim się położyła, zdawała matce sprawę, jak

rozporządziła w gospodarstwie; co kazała zrobić, co odmienić. Matka dopiero nad tem czyniła jej swoje spostrzeżenia i uwagi.

Lecz Gustaw cóż czyni? Musi się nudzić, tęsknić do zabaw, kart, i przyjaciół. O! bynajmniej, nie. Prosiła go matka, by założył we wsi szkółkę: z chęcią na to przystał; a to zatrudnienie, jakkolwiek nowe, ma dla niego powab niewymówny.

W rolnictwie, zupełnie nieobeznany, oświeca się; pyta sąsiadów, radzi: i wkrótce pewnie, sam potrafi dobrze zarządzić gospodarstwem, zupełnie wyręczyć matkę.

O! jakże im mile dzień schodzi na ciągłych zatrudnieniach! Ichwilki nie ma czasu próżnego. Z jakimże upragnieniem wyglądają wieczoru, by się zejść razem! Matylda, z igłą w ręku; matka zaś pończoszkę robi; Gustaw czyta im głośno gazetę, lub książkę. Nie jeden znowu wieczór zszedł na samej rozmowie, bo oni się teraz już rozumieją: choć mało gdzie bywają, nie wiele widzą, mają co z sobą mówić, bo uczucia serca na nowo odżyły; a w tych jest źródło niewy-

czierpane przedmiotów do rozmowy. Gdy nadejdzie niedziela, przybywa do nich na skromny obiadek szanowny proboszcz; po obiedzie zaś przyjeżdża parę osób z sąsiedztwa. Następnęj niedzieli, oni się wybięrają odwiedzić prawdziwych przyjaciół. Odbywają w piękny czas pieszo dalekie spacery, przewożą się bacikiem po wodzie, śpiewają, skaczą; wszystko w około nich oddycha swobodą. Teraz Matylda na nowo grywa na fortepianie. W mieście ten talent zupełnie zarzuciła; bo dla kogóż grać miała? Gustaw jęj nie słuchał, nigdy nie miał czasu; nasłuchał się już dosyć lepszej muzyki. Tu przeciwnie, miło mu słyszcć, gdy żona zagra, choć niedoskonale. Ona się tęż wprawia, by mu przyjemność sprawić. Matka się nie posiada z radości, widząc szczęście dzieci; a to szczęście jest jęj dziełem.

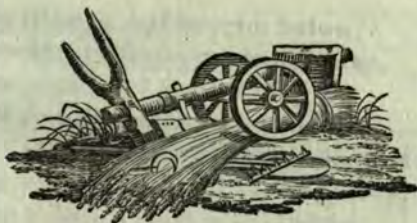
O! niktby nie poznał tęj wybladłęj już Matyldy, słabęj, zawsze pozięwającęj. Teraz na nowo odkwitła, jak pączek róży na wiosnę; zawsze śmiejąca, hoża. Gustaw



nie może jęć się nauwielbiać; zdaje mu się, że ją dopiero poznał, dopiero ukochał. I teraz czasem łzy zabłyszczą w ich oczach, lecz jakaż to różnica od dawniej wylewanych! Teraz je rozczulenie wyciska. Teraz, gdy wspomną na pierwsze lata ubiegłe ich połączenia, chcieliby je wymazać na zawsze z pamięci: „Myśmy nie żyli przez te lata (często mawiają); bo czyż to zwać można życiem, gdy czas na próżno schodzi.“

Szczęście Matyldy i Gustawa zaczęło się od chwili utraty majątku: w mierności kosztowali szczęścia; praca do niego była potrzebną.

ANTONINA J.





## **OLIMPIA,**

### *Opowieść zartobliwie-poważna.*

---

Raz na Olimpie był wieczór balowy.  
Nie wiedzieć dobrze, czy to imieniny,  
czyli to piknik był karnawałowy,  
czy też Junony świętne urodziny;  
Dość, że się Jowisz, w największej paradzie,  
ubięra w fraczek jak najświeższej mody,  
śnieżne żabotki i mankietki kładzie,  
i wonnych pomad nie szcedzi do brody.

Junona wdziewa suknią blondynową :  
 każdy z rękawów, jakby balon wzdęty ;  
 kapelusz *Luxor* wznosi się nad głową ;  
 na szyi łańcuch, *Izabelką* spięty.

Był zaproszony Olimp prawie cały.  
 Schodzą się zewsząd postrojeni goście :  
 z morza i z lądu, z lasu i ze skały ;  
 Półbożki, Bożki, Panowie, Jéjmoście.  
 Herkules słuszny, i Wulkan kulawy,  
 Mars zbrojny rękę podaje Wenerze ,  
 Dianna pieska bierze dla zabawy,  
 Neptun swój trójzęb składa jéj w ofierze.  
 Nie brak tam było lodów i Szampana ;  
 lały się same : kawy, limonady ;  
 muzyka dźwięczna, z Sylwanów dobrana,  
 najprzyjemniejsze głośliła rulady ;  
 a Nimf dwanaście, w króciutkim ubiorze,  
 z różanym wieńcem u czoła i loków,  
 i tyleż Faunów, w jednymże kolorze ,  
 stanęło razem do wesołych skoków.  
 Najprzód coś niby francuskie Kadryle ;  
 dalej z jakiegoś baletu wyjątek ; — —  
 ale któż pojmie i spamięta tyle ,  
 jak się snuł płasów zefirowych wątek ?

Chociaż to było na Olimpu szczycie,  
jednak ród ludzki, co zawsze ciekawy,  
nie nie zważając na zdrowie i życie,  
chciał też być świadkiem téj Bogów zabawy.  
Co tylko było drabin na téj ziemi,  
ławek i stołów: wszystko wydobyte.  
Wglądają tłumy, oczy ciekawemi,  
przez drzwi, i okna, i szpary ukryte:  
i drobne dzieci, i zgrzybiałe matki,  
szlachta, wojskowi, ziemianie, studenci,  
skromne panienki, zazdrosne mężatki;  
cisnęli się tam, słowem, wszyscy święci.

A w tém Ganimed, śliczny jak poranek,  
wchodzi z Nektarem (Jowisz się uśmiecha);  
naléwa Bogom to wino do szklanek,  
a zaś Boginiom każdej do kielicha.  
I przysła Hebe, luba jak Aurora,  
daje Ambrozyą z złotego półmiska.  
(Mars, dla którego najbardziej jest skora,  
skrycie jéj rączkę pod półmiskiem ściska.)  
Wreszcie Kupido, figlarne pacholę,  
przyszedł z sajdakiem zwieszonym przez ra-  
patrzę, co stawia ukradkiem na stole: (mię;  
Jabłko Parysa, co skradł swojej Mamie!

Tu dobry humor wylał się na Bogów,  
i gwar przyjemny wszczął się po za stołem;  
a starzy, młodzi, z rogami, bez rogów,  
wszyscy się bawić zaczęli pospołem.

Mars opowiadał krwawe swoje zwady,  
Neptun do Io palił koperczaki.

Pallas zadała dowcipne szarady,  
a Bachus zmiatał najlepsze przysmaki.

Aż Polonesa jak utną od ucha,  
huczne się tony rozchodzą wspaniale:  
zaraz z Junoną Saturnus się rucha,  
a za nim reszta sunie się przez sale.

Argus stuoczny, Cyklop jednooki,  
i Fama z trąbą, i Parki z wrzeciony:  
wszystko się wzięło pod pachy, pod boki,  
kiedy zagrano zwinne Kotylony.

Po Kotylonie przyszła Galopada:  
Wenus z Apollem, a Westa z Minosem,  
Wulkan, choć chromy, do tańca się wkrada;  
Sam tylko Jowisz ze spuszczoneym nosem.

Ale gdy *rober* skończył się już trzeci,  
i chciwy Plutus choć raz *szlema* dostał;  
natenczas Jowisz: „Dobrze tak Waszeci“;  
zgarnął pieniądze, i od stołu powstał.

I w tém jak mrugnie brwią swoją sędziwą  
(rzesze ciekawe aż do drzwi się pchają):

„A no Mazura! Niech mi zaraz żywo

„*Nowakowskiego* Mazura zagrają!“

Natychmiast wszyscy Galopa przestali,  
nowa na chórce staje partytura;

a Jowisz: „*Wszyscy*, jak tu są w téj sali,

„niech *bez wyjątku* stają do Mazura!“

Każdy za swoją tanecznice chwytą,  
stanęło koło, i par może trzysta;

Eol o Circe, Mars o Florę pyta. . .

Już brzmia puzany, ten trąbi, ten śwista;

już dźwięczny akord dobrały fujary;

już gwar był umilkł, ma się zacząć sztuka:

ale Ganimed niema jeszcze pary,

Ganimed jeden taneczniczy szuka.

Zabrakło jednej w Olimpie Bogini:

rozpacz porywa mego Ganimeda,

wyrzuty sobie i sąsiadkom czyni;

śmieje się Hebe, i gniéwa się Leda.

„A nuż! zacznijcie!“ woła Jowisz groźnie,

„Pókiż mam czekać kiedy raz rozkażę?”

„Natychmiast zacząć! Już i tak jest późno!”

„Niech *cały Olimp* stawa zaraz w parze!“

A nasz Ganimed, w ostatniej przygodzie,  
 postrzega w tłumie młodziutkich ziemianek,  
 w cisnącym do drzwi zewsząd się narodzie,  
 panienkę młodą, śliczną jak poranek:  
 Nóżeczka mała, i talijka miła,  
 wejrzenie skromne, płeć pulchna i biała;  
 słowem, Boginiby się nie wstydziła,  
 gdyby twarz taką lub nożeczkę miała.  
 Ganimed z tłumy za rączkę ją chwytą,  
 patrząc w Jowisza, wiedzie ją powoli;  
 i niby wzrokiem Jowisza się pyta,  
 czyli z ziemianką tańczyć mu pozwoli.  
 (Trza wiedzieć: Jowisz kochał Ganimedą,  
 nie raz wybaczył, kiedy źle naléwał;  
 nawet tajemna kronika powie, że go  
 Ganimed Tatuniem nazywał.)  
 Mrugnął więc Jowisz: jest ostatnia para.  
 Boginie z złości wargi zagryzują;  
 a w tém orkiestra: tatra ra ra, tra ra ra!  
 i wszyscy koło ogromne formują.  
 Wprzód *rondo* wielkie, raz w lewo, raz w pra-  
 potém *Szen* śliczny, bez żadnej pomyłki; (wo;  
 potém figury następują żwawo:  
 to krzyże, *ronda*, *passées* i posyłki.



Z jaką zgrabnością wszystko to tańczyło!  
 Myślałbyś prawie, że to *śró d Warszawy*;  
 bo jest co widzieć, kiedy z Polką miłą  
 puści się w taniec Warszawianin żwawy!

A mój Ganimed. ze swoją wybraną,  
 jak hasa żwawo, tak hasa wesoło;  
 wszyscy znużeni, już się robi rano,  
 a on z małą jeszcze hasa w koło.  
 Maciupa nóżka, i stanik szczuplutki,  
 gors nierozkwitły, lica nierozgrzane,  
 fartuszek cienki i lekki i krótki,  
 jednym wyrazem: dziecię ukochane!  
 Tak wszystkie Bogi, Boginie, Półbożki,  
 skroń ociężając, mówią między sobą:  
 „Co to za lekkość, co za zgrabność nóżki!  
 „Ach szkoda, że jest śmiertelną osobą!“  
 A w tém Ganimed, wzięwszy ją w pół chwacko,  
 jak ognistego hołupca z nią ut nie,  
 jak nią zawinie; — aż grzebién jój gracko  
 Apollinowi wyskoczył na lutnie.  
 „Brawo! ach brawo!“ krzykną wszyscy razem:  
 zazdrość talentom ustąpić musiała; —  
 „z jakim to tańczy wdziękiem i wyrazem!  
 „Jakże się zowie i z kąd jest ta mała?!“



„Ach, lube dziecię, kochana sierota!“  
 wszyscy znów krzykną, jakby jednym głosem;  
 „powiedz, czego chcesz, czy srebra, czy złota:  
 „sutym cię zaraz obdarzymy trzosem!“  
 „*Złoto nie krasi*“ odpowie panienka,  
 „*Przymioty duszy, to klejnot prawdziwy!*“  
 „A to bóstewko! ta ta ta małeńka!“  
 tak się odzywa sam Jowisz sędziwy.

„Więc gdy tak“ rzecze Olimp zgromadzony,  
 „kiedy pogardzasz złotem i klejnoty;  
 „daj tu, kochanie, fartuszek zielony:  
 „otrzymasz od nas, jakie chcesz, przymioty!“

Luba nadstawia fartuszek swój mały:  
 a Jowisz grot jęj wrzuca błyskawicy,  
 Wulkan miłości daruje jęj strzały,  
 Neptun kotwicę przeciw nawałnicy,  
 Flora fijołek, Merkury łańcuszek,  
 Wenera pasek, a pawia Junona,  
 Apollo lutnią wrzuca jęj w fartuszek,  
 Minerwa tarczę wiąże jęj do łona;  
 Ceres jęj daje swój róg obfitości,  
 a Mars swój szyszak z żelazną zastoną,  
 Dianna pieska, to znamię wierności,  
 Saturn od Parki stuletnie wrzecziono.



„*Usta* Twe, z *sercem* w wiecznej będąc zgo-  
 ,,wdziękiem czarować będą naród cały;  
 ,,w tój to purpury słodziutkiój swobodzie,  
 ,,miłości groty będą spoczywały.

„Nareszcie *nóżka*, co, pełna zgrabności,  
 ,,po twardym głazie stąpa tak leciuchno,  
 ,,nauczy ludzi: niechaj przeciwności,  
 ,,jednym posuwem, z drogi swojej zdmuchną.“

„Wiwat! niech żyje!“ tysiączne okrzyki  
 w gmachach Olimpu wzniosły się wesoło.

„Wiwat! niech żyje!“ krzykną śmiertelniki,  
 u stóp Olimpu, zgromadzeni w koło.

Panienka skromnie tu i tam się kłania,  
 a Jowisz do niój: „Jużes nie siórotą.

„Na znak naszego szczérego sprzyjania,

„za *córkę* naszą bierzem Cię z ochotą;

„a na pamiątkę dzisiejszój zabawy,

„kiedy imienia *mój córki* nie wiecie,

„dajem Ci imię dla Olimpu sławy:

„więc OLIMPIĄ nazywam Cię dziecię!“

Hebe, łabędzią rączką, puchar wielki  
 Panu Olimpu wesoło naląa:

„ŻYJ OLIMPIO!“ Wnet pękły butelki,  
 i cała góra w winie się skąpała.

A nasza LIMPCIA, okryta rumieńcem,  
z zwykłą skromnością wszystkim się skłoniła;  
i wraz z darami, i niebianek wieńcem,  
znowu z Olimpu na ziemię wróciła.

L. P.



## **CZŁOWIEK I JEGO LATA,**

### *Parabola z Jb. . .*

Kiedy przedwieczny, patrząc na świat stworzony, widział, iż wszystko było dobrze, zawołał człowieka i wszystkie stworzenia przed się, aby oznaczył sposób i długość ich życia na ziemi.

Wystąpił człowiek, i Pan rzekł: „Ty, człowieku! jesteś królem stworzenia; tobie nadaję podniesioną i szlachetną postać, dar myślenia i mowy; tobie poddany będzie

wszelki zwierz polny, ptastwo powietrzne, ptaz ziemi, i wszystko co w wodzie żyje; tyś panem wszelkiej żywej istoty; rośliny ziemi, owoce drzewa, są twoją własnością: a żyć będziesz na ziemi lat trzydzieści.“

Wtedy mrużąc odszedł człowiek na stronę, i rzekł: „Jeśli mam być królem stworzenia i używać w pełni życia, na cóż mi się zda ten mały kawałek czasu: lat trzydzieści?“ Tak skarżył się człowiek, i patrzył zazdrośnie na inne zwierzęta, z których wielu dłuższe życie wszechmocny darował.

Z kolei stawił się także i osioł, i Pan rzekł: „Ty wycierpisz trudy i nędzę, będziesz dźwigał ciężary i upadał pod razami poganiaczów, w pocie twoim nie doznasz wytchnienia, chwast i ciernie będzie twoją nędzną potrawą; a żyć będziesz na ziemi lat pięćdziesiąt.“

Wtedy biedne zwierzę uklękło i prosiło: Twórczo litościwy, jeżeli tak nędznie mam żyć, za pot i razy moje chwastem i cierniem być posilany, a żyć tak długo? Ach! odbierz mi dwadzieścia lat życia mojego.“



I człowiek, chciwy życia, przyskoczył, i prosił o lat dwadzieścia odrzuconych przez ośta; a Pan dobrotliwy uśmiechnął się, i przyjął prośbę.

Teraz przyszła kolej na psa, i Pan rzekł: „Ty będziesz pilnował domu i uwiązany leżał na skarbach, nie będziesz nawet księżycowi dowierzał, i będziesz na każdy cień szczekał, będziesz kości ogryzał i żył na ziemi lat czterdzieści.“

Wtedy ukląkł biedny pies i prosił: „Litościwy Twórcu! jeśli tak nędznie mam żyć, domu i skarbu pilnować, cień oszezekiwać i kości gryźć, ujmij mi życia lat dwadzieścia.“

I człowiek, chciwy życia, przystąpił, i błagał o lat dwadzieścia, których pies nie chciał; a Pan dobrotliwy uśmiechnął się, i przyjął prośbę.

Potém przyszła kolej na małpę, i Pan rzekł: „Ty będziesz tylko podobną do człowieka, a zostaniesz tępą i dziecinną, chodzić będziesz z grzbietem skrzywionym, będziesz igraszką dzieci i zabawą ludu; a lat sześćdziesiąt naznaczam ci życia.“

Na to uklęka biedna mała i prosiła: „Litościwy Twórcu! jeśli do człowieka tylko mam być *podobną*, być głupią, igraszką dzieci i gminu, wtedy ujmij mi lat trzydzieści.“

I człowiek, chciwy długiego życia, przystąpił znowu, i prosił o lat trzydzieści odrzuconych przez małą; a łaskawy Twórca uśmiechnął się, i przyjął prośbę.

I gdy wszystkie zwierzęta odeszły, każde według swego przeznaczenia, żył człowiek, jak pan stworzenia, swoje lat trzydzieści, bez troski i wesoły młodością.

Aż oto, zbliżają się lata od trzydziestu do pięćdziesięciu; wtedy człowiek się dręczy i trudzi, musi nieść brzemień, lichy jeść pokarm, wycierpieć razy, aby dowlóknął swój chleba kawałek. I to są jego *osłe lata*.

A gdy, doszedłszy lat pięćdziesięciu, nieco ubierał; wtedy siedzi człowiek na swoim skarbie, trzyma straż domu, nie wierzy księżycowi, każdy cień jest mu podejrzany, szczerka na każdego kto się przybliży,

a w głodzie swoim przestaje na parze kości.  
I to są jego *psie lata*.

Jeżeli człowiek przeżyje lat siedmdzie-  
siąt; wtedy traci swój rozum, staje się dziwa-  
cznym i śmieszny, chodzi z skrzywionym  
grzbietem i jest igraszką dzieci i głupców.  
A to nakoniec są jego *matpie lata*.





*Wyjatek z pisma pod tytułem:*

## **PIĘKNOŚĆ I WZNIOSŁOŚĆ.**

---

Rozpatrując się w rzeczach stworzonych, widzimy, że we wszystkiem najwyższa mądrość miała na celu nie tylko pożytek, ale i piękność. Piękność jest dozupelnieniem i koroną stworzenia.

Pociąg człowieka równie jest silny do piękności, jak do prawdy i cnoty; i do niej naprzód skłonność w nim się objawia. W przy-

rodzónj skłonności do tego co jest piękne, a w odrazie od tego co jest niemile, założył Twórca zasadę naszych dążeń ku prawdzie i cnocie.

Poznanie, co jest istotnie piękne, równie jest trudne, jak pojęcie prawdy i enoty; ale tu mówi się tylko względnie o przyrodzonym ku niej pociągu. Dziecię, bez władzy jeszcze rozumu, czuje rozkosz w kolorach i tonach, lecz drobne tylko przedmioty mogą go zająć. I człowiek w pierwiastkach lubił więcej krzyżące farby i tony, niż piękność, która ukształcony rozum i czucie zajmuje; ale przez te szczeble do niej dochodzić musiał. Piękność obudziła w nim najprzód ciekawość; ta przyuczyła go myśleć, naśladować, podobać się. Im więcej z grubiej zmysłowości wychodził, tém bardziej czuł skłonność upiękniać, jak natura, wszystko około siebie. Szata, pokrywająca jego ciało, stała mu się ozdobą; proste ogrodzenie się od napadu zwierza, zmieniło się w kwitnący ogród; a miejsce warowne liczniejszego pokolenia, grodem wspaniałym.

Domowe potrzeby, broń nawet zabójcza, ozdobą się stały. Dalej już u niego piękność nie tylko służy potrzebom, ale sama, przez się potrzebą się staje; i w człowieku obudza się siła twórcza i uczucie smaku, którego ostatecznym celem jest obyczajność. Upiękniając wszystko około siebie, swoją zewnętrzną postać, zapragnął i siebie, jako moralna istota, upięknąć. Wnet uniesienie dzikiej radości zamienił w tance, i w śpiewy, w których taktowi powodować się daje, i czuć zaczyna piękność porządku i miary.

Nadto, natura, w ogólności, przywiązała piękność do wszystkiego, co jest dobrem; a złemu odrażającą postać nadała (bo tu szczególnych zboczeń brać za zasadę nie można). Zjadliwe zioła i potwory, nacechowała postacią odrażającą człowieka; żmije i krokodyle przerażają oczy, choćbyśmy ich natury nie znali. Ptakom drapieżnym, żyjącym w puszczech, lub nad wodami, odmówiła śpiewu, bo tam nie słyszy ich człowiek. Słodkiej i wonnej pomarańczy, jakże piękną postać nadała! jak uszlachetniła postać

jelenia i konia! jak wdzięczny głos i piórka nadała, świat weselącym ptaszętom!

Człowiek jest arcydziełem w swym organizmie; jakże natura chciała zewnętrzną jego postać uczynić godną pobytu duszy! Oko jest najpięknszą jego pięknoscią, i w niem też, widzimy zwierciadło jego myśli i uczuć; ono trzyma niejako środek między ciałem i duszą. Przeto, jak nie piękniejszego nad oko pełne życia, pogody i szlachetności; tak nie okropniejszego nad nie, w gniewie, obłąkaniu, a tém bardziej w ciele umarłym.

Zdaje się, iż natura, nadając człowiekowi pewną wolą, więcej ufała jego rozumowi niż uczuciom. Myśl nasza może być tajną, ale rzadko uczucie. Zła żądza, im jest gwałtowniejszą, tém więcej niebezpieczną; dla tego tém więcej na twarzy się zdradza, chociaż ją rozum pragnie zataić. Uczucie szlachetne i tkliwe, tém żywiej powierzchownie się wyraża, gdy uczucie przepełnione nie jest w stanie tak się wystawić, jak rozum. Może być n. p. piękniejsza postać i rysy dwóch



ludzi, jak patrząc na tego, który przebacza, i który błąd swój wyznaje? Cóż często za bojaźliwą niewinność objawia prawdę? Oto, sama natura mówi za nią, przez łzy i rysy twarzy. Wstydlivość jest najwięcej ujmującą ozdobą młodej piękności; a że młodość najskłonniejszą jest do lekkich przewinień, tém więcej natura każe jęj się rumienić. Tym rumieńcem zdradza ona przewinienie, a razem zagniewanie rozbraja.

Uczucie wesela, cichęj radości, przyjaźni, jakże się rozlicznemi rysami maluje na twarzy! na tym przemiennym obrazie duszy! Przeciwnie w gnięwie, zazdrości, chciwości, odbiera natura tę piękną barwę; lica sinieją, bieleją wargi, oczy tracą blask przyrodzony, lub dzikiego zwierza przybięrają wściekłość. Im do piękniejszych uczuć dusza nasza przywykła, tém więcej twarz nabiera rysów pięknych albo szlachetnych. Za uniesieniem lub pogodą duszy, pozostają rysy na twarzy szlachetne lub piękne. Równie złe nałogi w nich się piętnują. Kiedy nadużycie trunku duszę upodli, natura od-

bióra oczom ich żywość, przemienia twarz; i spodlona postać człowieka, godną jest stanu duszy upodlonój.

Ten związek moralnój piękności z fizyczną, zważając człowiek, zapragnął nie tylko swoje potrzeby, swoją powierzchowność, ale i swoje czucie uzacniać. Chciał się podobać, jako istota moralna. W piękności płci drugiej szukał i szanował piękność moralną. Odtąd zmysłowa żądza nie przestała już na łatwej zdobyczy; uczucie szukało w oku uczucia i skłonności wzajemnej, i podwyższyło się do moralnych uczuć, przywiązania. Już miłość nie ofiarą, ale darem być mu powinna. Ten stosunek rozciągnął się na całe pożycie ludzkie. „Słaby, mówi Szyller, staje się świętym przedmiotem; nieskromiona siła traci dawny swój zaszczyt, rodzi się wspaniałość rycerskich obyczajów. Tego, którego żadna moc nie ustraszyła, rozbija rumieniec. Sama nie nawiść słucho delikatnego głosu honoru: zwycięzca przebacza zwyciężonemu; gościnnie stół oczekuje podróznego na tych

brzegach, gdzie dotąd tylko się morderstwa spodziewał.“

Tak stopniami uczucie piękności okrzesywało surowość obyczajów i uczuć: a, łagodząc go, usposobiło w człowieku siłę moralną; wdrożyło do uczuć szlachetnych i wzniosłych, których już w szkole walk i nieszczęść nabywać musiał. Ale, ograniczając się do niniejszego przedmiotu, powiedzmy, że dziś jeszcze, kiedy przepisy religii, kiedy prawa społeczne wskazują nam powinności moralne; jeszcze chęć wzajemnego podobania się, wzmaga nasze enoty, i one uprzyjemnia. Są wady niepozbydne, psujące harmonię życia potocznego; a którym żadne przepisy nie zdołają zapobiedz. Zły humor, lekkie urazy, zbyt otwartość, mała niezręczność i nieprzytomność, często nas równie wewnątrz zawstydzają i boli, jak wina prawdziwa. Prawda, że te przyzwyczajenia towarzyskie są nudzące, że czynią pozornym i wady pokrywają; lecz prawda i to, że owa ciągła bacność, aby się podobać, zamieni się

z czasem w piękną naturę. Przynajmniej pozostaje się obyczajność, przez którą zły staje się znośnym; a dobry, przyjemniejszym. Bez tego przymiotu, surowa cnota zadziwia; ale z nim, zniewala, i do naśladowania łatwiejszą się czyni.

Wszystko, co człowiek pojmuje w zmysłowym świecie i czego doświadcza w moralnym, to przechowuje, że tak powiem, w sennyh wspomnieniach, z których się składa jego imaginacya. Imaginacya jest tém dla wspomnień naszych, czém światło nocne dla przedmiotów natury. Nie wyświeca ona ich zupełnie; ale daje nam się ich domyślać, lub z nich coś tworzyć w wyobrażeniu. Imaginacya nie właściwie nie tworzy, coby nie było wzięte z czegoś zmysłom znanego; jćj utwory, jakkolwiek są przekształcone i nowe, są zawsze wspomnieniem tego, cośmy kiedyś przez zmysły pojęli, i po swojemu odnowili.

To tedy bogactwo, zebrane z pamięci i wrażeń, oddała nam natura najprzód dla zabawy, pozwoliła nam tworzyć według naszych

uwidzeń i potrzeb. Tak utworzył się powoli świat marzeń, naprzeciw rzeczywistości. Nadzwyczajność, przesada, krzyzące obrazy, złożyły ten świat, najprzód przez samą imaginacją rządzony. Nierychto zaczął człowiek czuć w tymże kraju piękność prostoty, planu, i spokojności. Tak i w naturze saméj, więcej uderza wzburzone morze, skał urwiska, i burze, niżeli spokojnej nocy majestat, i natura do dumania wyzywająca. Wnet człowiek naśladował nie tylko rzeczy stworzone, ale tworzącą naturę; śledził we wszystkim źródło, porządek i przeznaczenie; i do świata, swojego tworu, cel i porządek wprowadził: wystawił więc idealną doskonałość i piękność, naprzeciw rzeczywistości.

Widzieliśmy, że natura odznaczyła dobre pięknoscią, a złe odrazą. Gdy sztuka naśladowuje naturę, wzbudzi w nas równie przywiązanie do tego, co moralnie jest dobrem; a odrazę od złego. Jak zewnętrzne piękności natury kształcą naszą imaginacją, tak wrażenia, czerpane z ideału wiel-

kości człowieka, kształcą charakter. Na widok pięknej natury, i pięknego czynu, wszyscy bez różnicy czujemy przyjemność...

Ale wszystko, co dotąd o piękności w naturze i sztukach mówiłem, jest dopiero ułagodzeniem człowieka i upięknieniem jego pożycia. Są to dopiero kwiaty, na których wykołysać nas chciała. Gdyby natura i piękne sztuki, samą tylko łagodną piękność zawierały, życie nasze byłoby tylko miłym snem i utuleniem. Uczucie samej piękności, aniby nas uzbroiło przeciw nieszczęściom, aniby nam otwierało świata wyższego. Smutna rzeczywistość nasza, wyglądałaby jak obraz śmierci z pośród miłych ułudzeń.

Natura, nietylko jest piękną; ale nas zdumiewa wielkością, i okropnością przeraża. Świat moralny wystawia nieskończone walki z przeciwnościami, zbrodnie, i cnotę cierpiącą. Geniusz, w czarodziejskiem zwierciadle swoim, objawia nam nietylko piękny swój świat wewnętrzny, i w nim ubóstwioną niejako naturę ludzką; ale razem całą czarną jój stronę, barwami piekła wzmo-

cnioną : wystawia umysł walczący między nieśmiertelnością a zniszczeniem, między żądzą a wolą, między mocą i słabością człowieka. Te obrazy silniej jeszcze pociągają duszę, niżeli piękność; i jak ta uczucia łagodzi, tak te umysł do wzniosłości sposobią.

Piękność i wzniosłość, w naturze, podobają się duszy w sposób wcale odmienny. Widoki skał nad przepaściami, pożary i burze, obrazy piekła w Miltonie, przerażają nas razem i zajmują. Doliny, po których strumyki się gonią, obrazy patryarchów i pól Elizejskich, zajmują nas, i razem pokojące budzą uczucia. Dzień piękny, obudzając do powszednich czynności, wznieca w nas uczucie wesela. Noc, odślaniająca niezmierność światów, nęci do dumań o wzniosłych przedmiotach: Bogu i nieśmiertelności. Postać człowieka, zajętego myślą wzniosłą, jest uroczysta, mileżąca jak noc; przeciwnie, żywe czucie piękności oznacza się przez uśmiech i blask oczu, jak dzień pogodny. Wzniosłość wprawia nas w zadumanie, pię-

kności dziwimy się. Dziwimy się i temu, co nie łatwo pojmujemy; zdumiewamy się nad t $\acute{e}$ m, do czego nasze czucie ma udział. Człowiek zadziwiony nie okazuje nic wzniosłego, ale zadumany oznacza razem myślącą i czującą istotę. Wzniosłość i piękność mają źródła wcale odmiennie. Ta więcćj do zmysłowego, tanta do umysłowego świata nale $\acute{z}$ y. Piękność czyni nas wzajem sobie miłemi; wzniosłość, godnemi Boga. Do poznania jednéj, dosyć mieć delikatne czucie; do drugiéj, trzeba dzielności, i przeciwnościami wytrawionego umysłu. Dobre pojęcie piękności jest tarczą przeciw surowym namiętnościom; w wzniosłości zyskujemy miecz, by nad niemi panować. To, co jest piękne, zaspakaja razem i czucie nasze i rozum: przy t $\acute{e}$ m, co jest wzniosłe, rozum i czucie nie są wzgodzić; a właśnie na t $\acute{e}$ j sprzeczności polega cała rozkosz, jak $\acute{a}$  wtedy czujemy. Jestto tak, jakbyśmy sięgali, i ju $\acute{z}$  kosztowali błogości przyszłego świata, od którego nas obecny boleśnie odciąga.



Uzucie wzniosłe jest uczuciem pomięszaniem. Jestto połączenie pewnego zasmucenia z radością, uznania razem naszej nicości i wielkości. I to dowodzi, że tu na ziemi w dwojakim stanie jesteśmy; bo tu wyraźnie fizyczna słabość nasza jest w sporze z moralną, gdy nas jeden przedmiot dwojako, i tak różnie, obchodzi. Widok górzystej natury, razem nas rozkoszą i pewnym utęsknieniem napełnia. Czemuż więc tej rozkoszy tak w zupełności nie używamy, jak innych zmysłowych? Umysłowych rozkoszy, nigdy tu zaspokoić nie można. Przedsmakiem ich jest tęskność do Boga, błąkanie się myślą w kraju nieskończoności.

„Uzucie wzniosłe, mówi Kant, ma źródło swoje w połączeniu i imaginacyi z rozumem, które wzajem, z nierównym powodzeniem, chcą objąć wielkość bez granic. Imaginacya, widząc daremne swoje usiłowania, z żalem odstępuje swęj chęci, czuje swą niemoc, i wzywa na pomoc władzy, któraby tę nieskończoność pojęła; tą władzą jest rozum. Ten rozum, im dłużej

pracował, tém więcej przekonał się o swęj godności moralnej: wtedy, wynosząc się nad to, co go dopiero poniżało, stawia szlachetność swęj natury naprzeciw temu, co się zdawało dopiero szydzić z jego słabości; z uczuciem sił nieodgadnionych, unosi się nad olbrzymiami obrazy, w których niezmierności ginąć się zdawał. „

Ludzie, obdarzeni czuciem i imaginacją, lubiący dumać nad wielkością i okropnością, w moralnym i fizycznym świecie, a którzy nie doszli jeszcze do tej wzniosłości umysłu, okazują zwykle sceptycyzm lub melancholię. Ztąd Byron, który tyle do wzniosłości ma dążeń, zdaje się być istotą tylko cierpiącą; szedł on jeszcze w zapasy z naturą i przeznaczeniem; jeszcze się nie poddał konieczności, aby wyższym był nad nią. Poczye jego, obudzają wzniosłe uczucia, tak jak wielka natura; ale umysł jego nie doszedł był wzniosłości swojej.

Trudno nie wybaczyć w Byronie ludzkiej naturze: że to zniszczenie, to chaos, w rzeczach tego świata, wyższe umysły posępno-

ścią przejmują. Jak daleko dzieje ludzi sięgają, zawsze mają więcej do powiedzenia o potędze natury, niż o ich usiłowaniach.

Porównajmy to, co dzieje ludzkie nam świadczą, z tém, co od wieków życzyli enotliwi; a rozpaczby nas przejęła, gdyby nam noc tego świata, świata wyższego nie czyniła czytelniejszym.

Ta sama natura, która nas w młodości na kwiatach piękności wykołysała, przeraża nas niszczeniem tego, co sama tworzy.

Najwięcej kwitnąca ziemia, w gniewie, ogień wyrzuca, i chłonie Lisbonę. Te wiatry dobroczynne, pędzą zatopić morskich podróżnych. Człowiek wszędzie stawia potęgę umysłu swego przeciw naturze, ona wiecznie roztacza swe chwasty na gruzach jego piramid. Dzieje są krwi przelanej rachubą....

Od rzeczywistości, chcę się puścić w senne krainy wyobraźni; ale widzę, że, i w jej utworach, człowiek wolał być cierpień swoich malarzem. Jedna wyobraźnia utwo-

rzyła Olimp i Tartaru przepaści. Ztąd Iris po tęczy zstępuje na ziemię, ztąd wściekłe wylatują furyc. To widząc w moralnym i fizycznym świecie, a nawet w kraju imaginacyi, przez człowieka stworzonym: nie wiem, czy tenże jest owym więźniem, co nieszczęśliwy piękne okolice na ścianie sobie rysuje; czyli owym panem swobodnym, który z rozkoszą stawia przed sobą obraz cierpiącego Laokoona?

Dlaczegoż równie do tego, jak do łagodnej piękności, wiała w nas skłonność natura? Dlaczego człowiek, który sam tylko ze stworzeń ziemskich zniszczenie przewiduje, lubi właśnie zniszczenia widoki? Miała i w tém cel swój opatrzność. Jak na wzór piękności w naturze, zaczął człowiek siebie upiększać, czucie łagodzić; tak przez niebezpieczeństwa, jakie widział w okropności natury, zaczął wzmacniać najprzód swe ciało, później swój umysł. Zmysłowe najprzód potrzeby oswoiły go z przemocą żywiołów. Trzeba było walczyć o żywność z dzikimi zwierzęty, puścić się po żelazo

w przepaści, i za zyskiem morze prześledzić. To ciągłe zdobywanie łupów z natury, rozwinęło w nim siłę fizyczną, dalej moralną; ztąd nabył odwagi, z której wynikła pogarda śmierci i miłość chwały: owe najpiérwsze znamiona duszy, do nieśmiertelności stworzonej. Ta miłość chwały ograniczała się najprzód na samej sile fizycznej, bo wtedy była najpotrzebniejszą. Dalej, nietylko na to, co go otacza, ale i na samego siebie zwrócił uwagę; nie szukał już jedynie chwały zwycięztwa nad wrogiem, ale nad sobą samym. Poświęcić się dla bliźnich, przebaczyć: była to wyższa odwaga i wyższe meztwo. Zgoła, że jak piękności winniśmy w znacznej części uobyczajenie nasze; tak rozważaniu rzeczy okropnych, winniśmy wzniosły duszy charakter.

Człowiek, widząc że wszystko wkoło niego jest zmienne i nikłe, nie miał środka, jak mocą duszy nad nie się wynieść. Długo on dręczył się, rozważając bieg rzeczy: natura niepojęta przypominała mu jego ograniczenie; niszcząca, jego fizyczną niemoc. Ale,

przez skłonność ku tym dumaniom, oswoił się z niemi; zaczął myśleć, i być mężnym. Wnet te ogromne massy natury, innym do niego językiem przemawiać zaczęły; przez to samo, że się téj wielkości dziwi, uczył się wielkim; przez to samo, że go ta wielkość przeraża, że mu słabość jego przypomina, a przecież nie zbędnie do siebie pociąga, uczył, że ma w sobie coś zdolnego tryumfować nad nią. Tu już okropność w naturze, staje przed oczyma jego, jako majestat. Świat zmysłowy już mu niedostateczny. Z wielkimi oswojony widoki, nie znosi w sobie poziomych myśli i uczuć. Poznał swoje powołanie i powinność; upodobał sobie w tém, co go moralnie uzacenia. Stał się spokojnie, z przekonania, szlachetnym; a tę szlachetność w działaniu, najwyżej posuniętą, zowieśmy wzniosłością duszy.

Każdy badacz natury widzi, że w niej okropność łączy się z ogólnym pożytkiem, wzniosłość z pięknnością. Jeżeli w zniszczeniach natury, nie zawsze dostrzegamy ogólne dobro; obwiniajmy o to, nie ją, ale nasz

słabyrozum. Ale przymiotem rozumu jest, z licznych szczegółów wnosić o całości. A w burzącej sile natury, widzimy tyle szczególnych dobroczynnych skutków, że o jej ogólnych dobrych widokach tém mniej wątpić się godzi. Natura, w oczach tego, kto na nią patrzeć się umie, staje jako niepojęta czarodziejka, która jedną ręką, po macierzyńsku, wszystko wyżywia, i otula; drugą, niweczy. W jednej czynności zawsze jest piękną, w drugiej okropną; a w obu dwu wzniosłą, dla tego, kto ją pojmuje.

Żywioły płodzą wszystko i razem niszczą. Woda niszczy góry, równiny, kamienie, i zioła. Ogień wszystko strawi i rozprószy; niszczeniem żyje, i wiatrom podaje mdłe cząstki z największej masy; sprzymierzony z powietrzem, wyrzuca o milę ogromne masy z przepaści ziemi. Wolnemu wpływowi powietrza ulega wszystko na ziemi; wszędzie się przeciśnie, wszędzie i zawsze jest czynne: drzewo obali, kamień zniszczy, życie zarazi; metale, na wpływ jego wystawione, tracą barwę, konają, można mówić,

jak zioła; każda kropla krwi, na jego wpływ wystawiona, niszczy, jako bezużyteczna; ono w każdą ranę się wciśnie, odejmuje część bezużyteczną ciała, i gdzieindziej zanosi; powoli odbiera nam siły długo nabywane, nie przepuszczając nawet szatom, któremi przed niem się osłaniamy; niewidzialny, niepojęty posłaniec wyższych rozkazów, przynosi, odbiera, niszczy, ożywia; a nim zniszczy, zawsze wprzód ozdoby odbiera; wytłacza znaki na swych ofiarach, jako na włosach człowieka i liściach drzewa.

Ale te same walczące z sobą siły, połączają się, przez opatrne rozrządzenie, do celów dobroczynnych i dzieł majestatycznych. Wszystkie nasze pola, góry, doliny, powstały z gruzów, które się zwolna z najwyższych gór staczały. Powierzchnie ziemi składają się z oderwanych części gór, które woda, burze, i trzęsienia ziemi rozniosły. Tu na dolinie rozdrabia się, co tam silnie spojone było; i tu wszystko technic życiem. Umysł, ani wyobraźnia nie wypowie, jak ogień, wiatr, i woda, skrzętnie i nieprzerwanie pracują, roznosząc najdrobniejsze cząstki



i zarody, z jednego na drugie miejsce; jak obdzielają nasienie i pożywność; jak je przerabiają w swój drodze. Massy ziemi, około wulkanów, z ich wyrzutów powstały; i te, najżyźniejsze, najszlachetniejsze wydają płody. Nad piekłem Etny, ziemia wonną pokryta rośliną. Wyziewy siarki łagodzą aromatyczność ziół, najliczniejszych w tém miejscu. Nie mniej przytoczyćby można dobroczynne skutki wylewów Nilu i Wołgi.

Jednostajność natury ciągłym pustoszeniem się utrzymuje. Cały świat waży się ciągle, między niszczeniem, a rozwijaniem. Materya z jednego królestwa natury, do drugiego przechodzi. Nic, w największym zamieszaniu, nie ginie. Teatr, na którym wszystko się dzieje, jest zawsze ten sam; ale istoty na krótko tylko są jego aktorami. Co chwila, jedni wychodzą na scenę, inni nikną, i niewidzialnie na nowo się przerabiają i sposobią. Natura, odbierając jedną ręką, drugą nagradza. Każda materya musi przebyć różne ciała, rozliczne czynić posługi.

Słońce i dęby padną, skałę wiatry rozniosą, Wczuwiesz się wytrawi, rodzaje znikną; ale wynikłością tego zniszczenia, jest zmartwychpowstanie, odkupienie, i szlachetniejsze życie. Jest jedna odwieczna przyczyna która sama przez się, a w której wszystko żyje; około której ten ruch, te przemiany się dzieją: dla niej szum, łoskot, i walki żywiołów, są objawieniem życia, najzgodniejszą harmonią; jak dla nas, połączenie różnych instrumentów i tonów.

Obok tego, wszędzie natura pamiętną była, aby okropność i wielkość miała razem piękne kontrasty. Rzeka, z przerażającym szumem ze skały lecąc, rozpryskuje się w drobne pyłki, które słońce rozlicznymi barwy naznacza. W przepaści morza potworzyła miliony konch, najwyszukańszej piękności. Głębie ziemi dyamentami ozdobiła. Jednostajnej powierzchni wody, kazała się ważyć w przemiennych pohubach: chciała, aby odbicie nieba i brzegów tę jednostajność zdobiło; a przynajmniej, aby promień księżyca uzłacał drogę samotnym żeglarzom.

Ktoby zliczył owę sporność krzewów i kwiatów, z miejscami gdzie kwitną? dlaczego jedno drzewo, w jednych zawsze okolicach wyrasta; dlaczego insekta i ptaki, swoje mają gaje i krzewy? Wszędzie widzieć można, że te rozmaite kolory, cienia, i światła, tak są dla samego oka rozrzucone, jak na obrazie przez myślącego artystę.

Wszystko, uważane w swym związku, ma swój cel; nie jest przez się, ani dla siebie samego. Wszystko musi w naturze okrążyć koło sobie wskazane. Najwyższe góry ciągną wodę z obłoków, i udzielają jej niższym, morze wysyła jej zapasy, wiatry roznoszą ją w cząstkach spragnionym stworzeniom. Prochy, na skałach sklejone, muszą wyruszyć i pojsć, gdzie wiatry rozkażą. Same nawet ciała niebieskie, tylu pokoleniom przyświecające, wygoreją kiedyś. Całe to niebo, gwiazdami osute; ta twierdza, jak się Pismo święte wyraża, zestarzeje się kiedyś. „Niebo jest odzieniem Pana, mówi psalmista, które nakoniec zużyje, i zwinie jak namiot; ale On sam, przez wieki wieków, trwać będzie“.

Najbrzydsze zgnilizny wydają wonne kwiaty, i różnobarwe żyjątko. Życie każde jest umiowaniem, a każde zepsucie rozwijaniem nowego życia. Fizyczny, czy moralny zaród zmian wielkich na świecie, przez tysiączne przechody, dąży do swego kresu; i, przez długie wieki, niedostrzeżony, zdąży do niego.

Zgoła, na cokolwiek rozum oświecony uwagę zwróci, wszędzie znajdzie uspokajającą opatrność i porządek w naturze; nie widzi już, w szczególnych wypadkach, okropności, ale konieczność jednego porządku i celu. To samo wszystko powtarza się w świecie moralnym. Do niego usposabia nas rozpatrywanie się w wielkości natury. Zajmują nas ruiny, nad którymi czas tryumfuje; bo my kiedyś nad nim tryumfować będziemy. Grób, powiedział St. Pierre, jest pomnikiem, położonym między dwoma światami. Nie czulibyśmy czém będziemy, nie mając przed okiem obecnej nicości. To najwięcej sposobi nas do uczuć szlachetnych i ludzkości. Dzieje mówią, że, po zapadnie-

niu Lisbony, ci, którzy wyratować się mogli, ściskali się wzajem, przyjaciele z nieprzyjaciołmi, bogaci z ubogimi, wierny z niewiernym; każdy dzielił się z innymi, co wyratował. Według podróżnych, podobnie dzieje się na okrętach burzą zagrożonych.

W tej to myśli, wystawianie, w utworach sztuki, wielkich zdarzeń i charakterów, uznania umysły; ono jest męzką pięknnością poezji. Zadumienie, i uznanie godności człowieka, obudza w nas widok charakteru, nad konieczność wyższego; który, tryumfując śmiercią, zrzuca tylko niedogodną swą szatę.

Uważmy człowieka, który tylko w przyjemnych wyobrażeniach życie przepędził: będzie on dobrym i miłym dla nas, szczęśliwym dla siebie; ale póty tylko, póki się od niego szczęście nie odwróci. Jest on dobrym, jak dziecię, na paskach od szczęścia prowadzone; ale tém nieszczęśliwszy, gdy go ujmie w żelazne ręce. Przeciwnie, mąż widzący, przywykły do wyższych uczuć,

w przeciwności dopiero okaże się wielkim ,  
i uszanowanie obudzi.

Kant powiedział, iż wyobrażeniem wznio-  
słości jest płćć męzka, a żeńska piękności.  
Istotnie, kto, drugiej połowie rodu ludzkiego,  
nadał nazwisko pięknej, chciał może tylko  
grzeczność powiedzieć; tymczasem wyrzekł  
prawdę, godną zastanowienia. Najmniej  
uważny widzi: że męzczyzna, z postaci sa-  
mej, do trudów, prac i dzieł odwagi, jest po-  
wołany; i to stanowi różnicę budowy jego cia-  
ła, od płci tej, której łagodne, domowe obo-  
wiązki przeznaczyła natura: ztąd, w ogól-  
ności, postać doskonała męzczyzny jest  
szlachetną; kobiety, piękną.

Dłanas, dosyć tu będzie, według tych po-  
strzeżeń filozofa, namienić niektóre różnice  
moralne, z fizyczną związek mające; gdyż na-  
tura wszędzie prawie, w zewnętrznej posta-  
ci, wyryła odpowiednie moralne przynioty.

Dzieci same okazują, że te różnice, nie  
zwycają i wychowanie, ale sama mieć chcia-

ła natura. Chłopczyk już z instynktu bawi się tém, do czego jest przeznaczany: koń, pałasz, wspinanie się po drzewach, a nawet pastwienie się nad zwierzątkami, są jego zabawką. Dziecię płci żeńskiej już lubi stroje, baczniejsze jest na wszelkie przyzwoitości; lalkę swoją, nietylko ubiera, ale kołysze, okazując już macierzyńskie skłonności. Brat, w równym wieku, okaże skłonność do odwagi; ona, do litości. Tamtego wszystko zajmuje w naturze i sztukach, zadaje pytania: na co i dlaczego? zgoła, zwiastuje się przeznaczonym do śledzenia prawdy. Ta przeciwnie, wypytuje się o to, co do domowych stosunków należy; jej ciekawość ogranicza się do tego, co jest pięknem i zwyczajowem; baczna na siebie, już zachowuje pewne ułożenie, udanie nawet, w wieku, w którym płeć męzka jest jeszcze niezręczną i nieuskromioną.

W téj to różnicy płci ku wzniosłym i pięknym uczuciom, założyła natura cudowną harmonią ku wzajemnemu doskonaleniu się ludzi.

Mężczyzna obowiązany jest żyć i działać według zasad, których długą pracą, walką, i doświadczeniem, dochodzi; płeć druga myśli i czyni według uczucia, którym ją hojnie obdarzyła natura. To czucie nierównie pewniejszym jest przewodnikiem, w właściwych jej obowiązkach, niż wszystkie nasze teorye. Ztąd daleko więcej kobiet, jako kobiet, jest doskonałych, niżeli mężczyzn. Im miłość, w całym znaczeniu wyrazu, miłość macierzyńska, rodzinna, rozciągająca się na wszystko, co żyje i cierpi, nadaje: sztukę podobania się, przenikliwość, dowcip serdeczny, takt wrodzony, cierpliwość, i przytomność; zgoła przymioty jej naturze i powołaniu służące.....

Cnoty kobiet są piękne; mężczyzn, są wzniosłe. Od złego, mówi Kant, unikają częściej kobiety przeto, że jest ohydne, niżeli, że jest niesprawiedliwe; i dobre dlatego prędkiej kochają, że jest piękne.

Ztądto główną cnotą mężczyzn jest sprawiedliwość, a kobiet litość. Naturalną jest rzeczą, że kobiety nie zawsze chcą pojmo-



wać tę cnotę w płci męskiej, która z surowemi i okropnemi często prawami natury ma związek. Mężki umysł każe patrzyć na ogólne dobro, z poświęceniem szczegółów; serce kobiet troskliwe jest o szczegół. Mężczyznę obchodzi daleka przyszłość; ją, obecną. Nieśluszną wymagać po niej, aby ją, z równem zajęciem, obchodziło dobro dalekie, ogólne. Nie poważy się nikt zwać tego egoizmem: owszem, jest to poświęcenie się ciche, heroiczne według heroizmu kobiety; bo ona się tak dla szczegółu poświęca, jak to winien jest czynić mąż dla ogółu. A z téj sporności, wynikają razem wzniosłe i piękne cnoty towarzyskie; wynika zbawienna pieczołowitość o dobro ogólne i szczególne. One naśladują naturę w tém, co w niej macierzyńskiego widzą; to jest, jej opiekę i troskliwość, dla najdrobniejszego stworzenia: my naśladujemy ją więcéj w jej nieubłaganych zasadach; to jest, w poświęcaniu szczegółów dla wyższych widoków.

Wtórą cnotą w płci jednéj, jest męztwo; w drugiéj, cierpliwość. Jedna jest wzniosłą,

a druga piękną. Mężczyzna walczyć musi ze złem, kobieta je znosić. Temu do męstwa, dała natura ogień odwagi, która głuchym czyni na boleść; im dała dobroczynne łązy, z którymi ta boleść tajemnie upływa. Znał więc ludzką naturę prorok, gdy mówi: Pójdźcie płakać dziewice na popiołach Jeruzolimy, a wy syny walczcie za chwałę Pana!

Dalój, uczucie honoru, które, zdrowemi kierowane zasady, wzniosłem się staje, tak włada mężczyzną, jak wstydlivość kobietą. Ta wstydlivość, tak jest ozdobą piękności, jak honor szlachetnej odwagi. Rzeczywiście, honor jest tylko wstydlivością mężczyzn, jak wstydlivość honorem kobiet; jednakże, ten więcej polega na działaniu, ta na zachowaniu się. Na harmonii tych dwóch uczuć, które, w cywilizowanym narodzie, stają się jedną rzeczą, polega godność i przyjemność, domowego i publicznego, pożycia.

Nakoniec, jednym z najszlachetniejszych przymiotów, który piękność ozdabia, jest skromność; ów rodzaj prostoty, z uczuciem

własnej godności złączony. Z pod jej czarującej zastony, pokazuje się ujmująca dobroć, szacunek dla innych, obok ufności w własne przymioty. Jestto pierwszy krok do uczuć wzniosłych; i dlatego ta cnota, w obojczy płci, szacownym jest darem. Ona równie fizyczną, jak moralną piękność ozdabia. Ona sama chroni nas, abyśmy w nikim miłości własnej nie obrazili; ona sama szacunek dla przymiotów wymusza; ona jedna usta zazdrości zamknąć potrafi. Zgoła, iż tę cnotę przyrównać mogę do zbroi, która, okrywając ciało, razem go broni i zdobi.

Kobięta, przez łagodne cnoty, więcej przywiązuje; mężczyzna, przez wzniosłe, wymusza dla siebie szacunek. Ale jakże to do bóstwa zbliża wielkiego męża, który, obok cześci, kochać się każe! I jakże wzniosłą jest piękność, która, właściwą godnością, cześć dla siebie wymusza!

Obiedwie płci, te przymioty najwięcej cenią, które wzajem w sobie dostrzegają; równie, jak wady mężczyzn więcej uderzają kobiety, i wzajemnie. Mężczyzna bez ho-

noru tak mało ma szacunku, jak kobieta bez skromności. Zniewieściałość w męczyźnie, tak odraża kobietę, jak brawura kobiet, która nie wynika z uczuć płci właściwych, śmiešność obudza. Odwaga tak zniewala kobietę, jak męczyznę łagodność.

Z samej sporności. tych przeciwnych uczuć, wynika przywiązanie i wzajemny szacunek; rozwijają się obowiązujące przymioty i powinności.

Każdej płci dano skłonność uzacniać, albo miarkować przymioty drugiej; tak walczą, dla wzajemnego dobra, o lepszość swych zalet i zasług wzajemnych. Wielką część wzniosłych uczuć i przedsięwzięć, winni są mężczyźni płci drugiej; równie, największa część jej zalet, z chęci podobania się rodzi.

Przymioty, wzajem obudzone, płci obie, jedna w drugiej, miarkują. Ztąd wynika, że męczyzna do męztwa łączy łagodne uczucia, i czuje wdzięki moralnej piękności; a kobieta wzniosłe uczucia cenić się uczy, i często do nich zdolną się staje. Lubo dosyć

jest dla kobiety, umieć cenić wzniosłe enoty męczyzny, i dla nich czynić z siebie ofiarę; przecież i ona zdolną jest do czynów heroicznych: lecz te, zawsze wynikają z uczuć płci jój najwięcej właściwych. Niezwalczony Achilles, przechodzi do tkliwych niewieścich uczuć; gdy, płacząc przed matką, podczas gdy inni walczą, tęskni do spokojnych zagród ojca swojego. Ten płacz szpeciłby bohatera, gdyby nie pochodził z wzniosłych skłonności. Płacze, bo wie, że zginąć ma w obronie wodza Atrydów, który go tak ciężko obraził; bo właśnie ta obraza przypomina mu, że krótkie, lecz sławne życie obrał, w miejsce lat długich, ale spokojnych. I wyboru tego nie zmienia, zostaje, walczy, i ginie; a heroizm jego tém jest świetniejszy, że oraz tyle tkliwych okazał uczuć. W jedném z miast włoskich, lew więziony, przetłamuje swą kratę; z wściekłością pędzi przez miasto: i, gdy wszyscy do domów się kryją, lew porywa dziecię na progu się bawiące; i unosi. To matka spostrzegłszy, wybiega z przytomną rozpaczą,

goni, i pada na kolana przed zwiérzem, błagając w obłəkaniu o dziecię w paszczy trzymane. Wspaniały lew kładzie dziecię przed matką, i ułagodzony odchodzi. Otóż dwa przykłady, w których przeciwne uczucia, z wrodzonych skłonności pochodzą. Przez łzy Achilla, przemawia jego rycerstwo; przez odwagę matki, przemawia wzniosłe macierzyńskie uczucie.

Uważano, że przyjaźń bardziej jest męzczyzn, niż kobiet, uczuciem. To uczucie ma swoją wzniosłość, i zwykle do heroizmu prowadzi. Dzieje nam świadczą, że najlepsi przyjaciele, największemi byli bohaterami. U kobiet miłość, heroizmu jest źródłem: dlatego dzieje, w płci tej, nie wskazują nam Piładów i Orestesów; ale heroiny w kochankach, żonach, i matkach.

U kobiet dom rodzinny jest celem życzeń wszystkich i starań; u męzczyzn, jest prawie środkiem do życzeń i posług społeczności. Jego chęci i widoki rozciągają się za dom, na ziemię obszerną; dla niej dom światem, chciałyby szczęście powszechne w nim wi-

dzieć skupione. On kocha dzieci jako obywatel, ona kocha społeczność jako matka. W kochance samej najwięcej ujmuje się macierzyńskie skłonności; i kobieta, kochając prawdziwie, kocha razem miłością matki i córki: tak jak mężczyzna, wzniosłe kochając społeczność, poświęca się dla niej jak syn i ojciec.

Męska cnota sprawiedliwości, jest jedną, do której czułość kobiet najmniej im dozwala się wznosić. My chcielibyśmy Boga naśladować w nieodzownych wyrokach: ale tego, co jest niezbędną koniecznością; co jest sprawiedliwością istotną, nie zawsze pojmujem. Dlatego płęć, litością się rządząca, jeżeli nie przez swoje łzy i prośby; to przez uczucia, któremi nasze łagodzi, zwraca nas od téj surowości, i często od okropnych błędów odwodzi. Litość, jak sprawiedliwość, same przez się, mogą błędzić i szkodzić; a miarkowanie jednej przez drugą, wydaje często sercem i rozumem pojętą słuszność, która, w pewnych zdarzeniach, lepiej dostrzega.

Mężczyźni, w ogólności, tak w entuzyazmie, jak w idealnych rachubach swoich, mają zaród do wojen, stawiania wszystkiego na kartę, poświęcania teoryom rzeczywistości; ztąd często są krwawemi ofiarami i ofiarnikami: ale za to płęć druga, pamiętna o szczególności, zajęta ocalaniem nie zdobyczą, zwraca często zapędy ku domowemu ognisku; a mąż i ojciec, inne cele męztwu i odwadze naznacza; dziki szal wojenny mieni się w najświętszą powinność, w męztwo obronne.

Kobięta tak jest przejętą uczuciem piękności, że ją piękność drugiej więcej zajmuje, niżeli samego męzczyznę. W nim zaś żąda tylko męzkich przymiotów. Ona spokojną jest, że nie ma pewnych wyższych wiadomości; że jęj nie są powierzone czyny odważne i trudne: ale wymaga po męzczyznie tych przymiotów, których nie ma. On, w słodkiej wesołości, przyrodzonej dobroci i roztropności, znajduje wytechnienie i roz pogodzenie w swych trudach.

Właściwém piękności jest działać wszystko z łatwością; praca, sztuka, niknąć po-



winna za jęj śladami. Inne jest powołanie  
wzniosłych dążeń; bo wielkie tylko usiło-  
wania, i zwyciężone trudności, nabywają  
prawa do podziwu. Ztądto tak mało ko-  
bięć, którym erudycya i głębokie badania  
wdzięcznemi okazać się mogą. Przeciwnie,  
pięknę sztuki, twory imaginacyi; wszystko,  
co z czuciem ma związek, jest ich własno-  
ścią. „Treścią wielkiej nauki kobięć, mówi  
Kant, jest człowiek. Ten wzgląd mieć po-  
trzeba na oku, chcąc w nich wykształcić  
ich piękną naturę. Kształcić uczucia mo-  
ralne, ale nie pamięć wzbogacać; i to nawet  
nie przez ogólne przepisy, ale przez roz-  
biór postępowania, jakie widzą około siebie.  
Przykłady, brane z innych czasów, dla oka-  
zania wpływu tej płci na dzieje świata; jęj  
stosunki, w różnych krajach i wiekach, z płcią  
męzką; charakter obudwu płci, ztąd się  
wyjaśnić dający: niech stanowią głównie  
jęj historją i geografją. Na karcie geogra-  
ficznęj, wystaw jęj różne charaktery mie-  
szkańców, ze stosunków płci wyprowadzone.  
Równie, z budowy świata, nie potrzebują

więcej wiedzieć nad to, aby widok nieba, w pogodny wieczór, więcej zajął ich duszę; niech wiedzą, że jest więcej światów, a na nich żyjące istoty. Przywiązanie do sztuk, nadewszystko do muzyki, uzacnia i podnosi jej duszę; jeżeli te, nie jako sztuka, lecz jako uczucie uważane będą. Zdała od nich zimna spekulacyjna nauka! zawsze tylko uczucie! uczucie, ile możliwości, do stosunków jej płci zbliżone.“

Niech co chcą mówią przeciw lekkiej skłonności kobiet do mody, bo ta tycze się zwykle rzeczy przemiennych i białych; powiem jednak, iż one wszędzie są stróżami odziedziczonych cnót i obyczajów, jeżeli społeczeństwo nie jest zupełnie wynaturzone. Ich mody może nawet nie są zmienniejsze od naszych teoryj i systematów; ale, w zabłąkaniu i burzach powszechnych, są westalkami ognia świętego, wiary, cnót i obyczajów przyrodzonych. Powołanie ich, pod każdym względem, jest macierzyńskie i zachowawcze.

Gdzie panuje zgodność wszystkich wymienionych obowiązków i skłonności; gdzie obiedwie płci, spólnie, i według właściwego powołania, ku moralnemu wykształceniu zdążają: tam kwitną cnoty prawdziwie wzniosłe; tam niknie ślepy fanatyzm, i miejsce jego żywe uczucie obowiązku zajmuje; tam kwitnie obyczajność, wyrozumienie, na koniec smak dobry, który na zdrowém uczuciu i rozumie polega; wtedy wszystkie cnoty i zalety społeczności rozechodzą się od rodzinnego ogniska, i do niego ostatecznie wracają. Gdzie jedna, lub druga płeć, z swojej sfery wychodzi, tam niknie społeczności porządek. W krajach, gdzie płeć piękna jest nieczém; gdzie podobać się téjże, przez uprzejmość i piękność charakteru, nie masz potrzeby: tam jest surowość obyczajów, tam same cnoty są dzikie. W Sparcie, gdzie kobiety wyszły z łagodnej swojej natury, okazały uczucia dziwiące; ale te wypłynęły z utłumienia uczuć przyrodzonych, któremi dziwić powinny.

Chrześcijaństwo, zbawiając ród ludzki, wybawiło w szczególności płęć żeńską z długiej niewoli; z pod przemocy fizycznej i poniżenia, w duchu którego, według mniemań poganizmu, a nawet Mahometa, i w przyszłym życiu miała być tylko nagrodą. . . . W początkach chrześcijaństwa, okupywała ona, równie z płęcią drugą, przez męczeństwo, wiarę prawdziwą, która, i w doczesnym życiu, stała się jej poświęceniem nagrodą. Ta wiara, podnosząc człowieka, bez różnicy, do najwyższej moralnej godności; zasadzając się razem na miłości powszechnej i cichym poświęceniu, szczególnie zajęła płęć do tych cnót skłonną: i będzie zawsze dla niej w tym życiu źródłem pociech, w jej niemocy przyrodzonej, i cierpieniach. Kiedy małżeństwo świętością sakramentu uzacnieno zostało, wtedy człowiek znalazł w małżonce godną cnót wzniesionych nagrodę, wiecznego przyjaciela; spoił się z nią wyższym, moralnym ślubem. Jej uzacnienie obudziło w nim nieznanne mu cnoty; i ona rozwinęła w sobie godność, i przymioty,

które w niej, raz jako w niewolnicy, drugi raz jako w dziecku, tłumione były.

Średnie wieki zepsuły tę harmonią, gdy rycerze, w płci pięknej, nie już równą sobie istotę, ale coś nadziemskiego chcieli upatrzeć. Wtedy właśnie, mimo całej obrzędowej grzeczności i dowodów bezcelnej odwagi, płęć jedna była dziwaczną, wynaturzoną, w swych uniesieniach; a druga, w pozorném ubóstwieniu, była rzeczywiście niewolną i nieszczęśliwą.

Gdy we Francyi płęć piękna ton dawała życiu towarzyskiemu, wtedy i obyczaje mężczyzn były lekkie; wtedy właśnie, świętość domowych stosunków śmięsznością tręcała.

Cześć i opieka męża dla uczuć płci drugiej przyrodzonych, działanie na ogół w duchu domowego szczęścia; cześć i troskliwość kobiety w jęj sferze dla świętych obowiązków spółeczności, i działanie w domu w duchu ogólnych jęj potrzeb, nazwaćby można świętęm, ogólnęm ludzkości małżęństwem.

K. z KR.



## **DZIADEK.**

---

### **MŁODZIENIEC.**

**Dziadku ! gdzież tu dostać chleba ?**

### **DZIADEK.**

**O ! po chleb rano wstać trzeba ,  
Bo droga przykra i długa :  
Najlepiej ująć się pługą ;  
Za pługiem będzie chleb znojnny ,  
Ale zdrowy i spokojny .**

## MŁODZIENIEC.

Gdzież tu są, dziadku, zabawy?

## DZIADEK.

Sześć dni drogi do nich będzie :  
 Sześć dni obchodź twoje sprawy,  
 Dom i przyszłość miej na względzie ,  
 Zysk obrachuj; potem śmieje  
 Hasaj sobie przez niedzielę.

## MŁODZIENIEC.

A gdzie też tu szkoła będzie ?

## DZIADEK.

Szkół i mędrków jest do kola.  
 Lecz, w kółko chodząc, czas stracisz,  
 Zawrotem głowy przyplacisz.  
 Ale jest na niebie karta ;  
 Dzieciom ziemi wciąż otwarta ;  
 Jest i książka ziemi matki ,  
 Z której uczy wszystkie dziatki ;  
 Jest i serce ; są i ludzie :  
 W zyskach, stratach, w fraszkach, w trudzie,  
 Jedni drugich uczą sami.  
 Czule, czynnie, puść się w drogę ;  
 Ucz się własnymi błędami ;



Nie leń się szukać, a znajdziesz;  
 Nie wiele pytaj, a zajdziesz.

MŁODZIENIEC.

Gdzież tu znaleźć przyjaciela?

DZIADEK.

Tego, tylko los udziela;  
 Nie złowisz go wędą złotą,  
 Ni talentem, ani cnotą.  
 Kto wczas zyskał przyjaciela,  
 Pocięch i troski spółnika,  
 Niech z pełni serca wykrzyka!  
 Bo jako powietrza ciała,  
 Tak duszy trzeba udziału.  
 Kto będzie w słowa oszczędny,  
 Tobie otwarty, a względny;  
 Jeżeli, nie wiedzieć czemu,  
 Tęskno ci będzie ku niemu;  
 Gdy, i milcząc, tobą władnie,  
 Skryty twój smutek sam zgadnie;  
 Kiedy złe, i dobre swoje,  
 Z tobą rad święcić łąką tajną;  
 Jeśli; poświęcenie twoje,  
 Przyjmie, jako rzecz zwyczajną:  
 Wykrzyknij, pelen wesela,  
 Że znalazłeś przyjaciela.

## MŁODZIENIEC.

A gdzie też tu miłość mieszka ?

## DZIADEK.

Gdzie różana wiedzie ścieżka ,  
 Tam chodź , próżnuj , i myśl o niej ;  
 A wnet cię przedmiot dogoni ,  
 Jaki sam sobie wymarzysz .  
 Będzie też to dusza sama ,  
 Mądra , czuła , i wesola ;  
 I coś jeszcze nad anioła .  
 Ale to nie twój towarzysz ,  
 To jest bańka twego tchnienia ;  
 Bóstwo , które tworzysz sobie ,  
 Niewcielone umrze w tobie .  
 Gdyś stworzony , syn Adama ,  
 Szukaj , tak jak ty , stworzenia ;  
 Nie trać czasu na ofiary ,  
 Dla utworu własnej mary .

Tam gdzie , w gospodarniej chatce ,  
 Widać kwiaty u podwórka ;  
 Gdzie , pomocna swojej matce ,  
 Nie zbyt głośna mieszka córka :  
 Tam bądź wesoły , a grzeczny ;  
 Mniej natrętny , a stateczny ;  
 Szczery bądź mową i okiem ,  
 Nic nie dodaj , nie ukrywaj ,

Ni, własnych marzeń, urokiem  
 Zalet lubej nie odzie waj;  
 Jój nie zawodź, ani ciebie.  
 Bo, jak ogień błyszczy z siebie,  
 Tak miłość sama się zdoła;  
 Sama, lepszemi was zdoła.

Gdy litość sercem jój włada,  
 A cenę mężkie przymioty;  
 Gdy, nad strój, czystość przekłada;  
 Kiedy wesolej jest cnoty;  
 Gdy boleść sercem zrozumie,  
 Ale zagadać ją umie;  
 Jeśli dbała, bez parady,  
 O porządek w domu matki;  
 Jeśli lubi, bez przesady,  
 Dzieci, tańce, śpiewy, kwiatki:  
 Szalej za nią! — to twa żona,  
 Z Opatrzności naznaczona.

#### MŁODZIENIEC.

Gdzie też tu mieszka wesele?

#### DZIADEK.

Dawno o niem nie slyszalem.  
 Mało ci o niem kto powie.  
 Kiedyś w młodości je znałem:  
 Ojcem jego było zdrowie,

Miało niewinność za żonę ;  
 Potém , z zasługą złączone ,  
 Dorobiło się dóbr wiele.  
 Dziś , podupaďte , w niedoli ,  
 Chyba gdzie z dziećmi swawoli.

MŁODZIENIEC.

A gdzie też tu mieszka cnota ?

DZIADEK.

Skryła się za swoje wrota ,  
 Oddawna samotnie żyje ;  
 Obdarli ją ludzie podli :  
 Z żalem przed światem się kryje ,  
 Tajnie za wszystkich się modli.  
 Byłaby nagrodą sobie ;  
 Spokojna czystém swém tchnieniem ;  
 Lecz teraz żyje w żałobie ,  
 Bo ludzkim cierpi cierpieniem.

MŁODZIENIEC.

A gdzież tutaj szczęście będzie ?

DZIADEK.

Nie tędy do niego droga.  
 Pytają o niego wszędzie ,

Ale nieznanie nikomu.  
 Odszedłeś go w ojców domu ,  
 A nie znajdziesz aż u Boga.  
 Cichym bądź w sercu , i w mowie ,  
 W cnych czynach szukaj wytchnienia ;  
 Z resztą się pytaj sumienia :  
 Umieć po polsku , toć powie.

MŁODZIENIEC.

A gdzie też tu wiara mieszka ?

DZIADEK.

Jeżeli nie wiesz od matki ,  
 To ci pokażą ją dziatki :  
 Najprościejsza do niej ścieżka.  
 Nie pytaj o nią szczęśliwych ,  
 Ani mędrców tego świata ;  
 Szukaj jej w miłości brata ,  
 W czynach i uczuciach tkliwych :  
 A kiedy cię wszystko zdradzi ,  
 Ona , w nieszczęśliwym stanie ,  
 Sama wyjdzie na spotkanie ;  
 Do domu cię zaprowadzi.

K. z KR.

**O DOBREJ ŻONIE,**  
*Z Przypowieści Salomona*

Rozdział 31.

Kogo Bóg dobrą udarował żoną,  
 Ten nad perły skarby liczy :  
 W niej ufność jego ; gdy ona ochroną,  
 Ani mu trzeba zdobyczy.

Ciągła jej skrzętność, koło lnu i wełny ;  
 Przemyślną ręką wyszywa.  
 Ona jest okręt, co, żywnością pełny,  
 Codzién do brzegu przy pływa.

Wstaje przed słońcem, i sługi do płacy,  
 Prac, i posiłku, zgromadza ;  
 Obchodzi ogród. A z zysku swój pracy,  
 Nową winnicę zasadza.

Okolo czynnej, wszystko czynne chodzi ;  
 Otucha lica jój krasi.  
 Wciąż praca sporzy, wciąż ziemia jój rodzi ;  
 Noc całą światła nie gasi.

Wnet szyje szaty, wnet kręci wrzeczona.  
 Jój ręką biedni okryci,  
 Przez nią siérola cicho utulona,  
 Ona głodnego nasyci.

Ona do datku , zawsze klucze trzyma .

Zapas odzienia , w jej domu ,

Już opatrzyła , gdy nadchodzi zima ;

By szat nie brakło nikomu .

Bezpieczna potrzeb , myśli o przyzdobie :

Szkarłatne łoża pokrycie ,

Jedwabne szaty , obmyśliła sobie ;

Bo mąż jej już jest w zaszczycie ,

Zasiada w radzie pomiędzy starszemi .

Lecz stąd się dumną nie staje ;

Ubiéra dzieci rękoma własnemi ,

Pasy za morza sprzedaje .

Czystość i bacność , jak strój ją ubiéra .

Na przyszłość patrzy wesola .

Dobroć i litość , jej usta otwiera ;

I względność sieje do koła .

Dozorném okiem przegląda dom cały ,

I nie da chleba gnuśnemu .

Synowie mężni wzrosli dla jej chwały ,

Dla chwały ojcu szczęsnemu .

Zmienne są wdzięki ; ale bojaźń Pana ,

Niewiastę pod niebo wznosi :

Ona potomstwem , jak wieńcem , ubrana ;

Swiat niechaj tryumf jej głosi .

K. z KR.

**Z HIABA.**

Oby! tak jeszcze, jak niegdyś, bywało!  
Gdy Bóg był mojem ramieniem;  
Gdy słońce jego przedemną jaśniało,  
Jam szedł za jego promieniem!  
Jak w owę chwilę, już zbiegła,  
Gdy Bóg zwiedzał me podwoje;  
Kiedym uprawiał ziemię rozległą,  
A koło mnie dzieci moje!  
Wtedy, gdzieś stąpił, góry i skały,  
Mleko, oliwę, mi lały.

Gdy na obrady wychodziłem z domu,  
Kiedy na rynku kobierce mi ślali,  
Młódź, na mnie patrząc, stała pokryjomu;  
Starzy, powstawszy, na nogach zostali;  
Książęta przerwali słowa,  
Palcem usta naciskali;  
Wielomówców milkła mowa,  
Język za zęby chowali:  
Bo kto mnie słyszał, przyznawał;  
Kto na mnie patrzył, cześć dawał.

Bom ja w nieszczęściu wołających wspierał,  
Kwilące tulił sieroty,  
Ja nędzy wrota otwierał,  
Płacz wdowy mienił w pieśni ochoty.



Sprawiedliwością , jak strojem ,  
 Jam się otoczył dokoła ;  
 A prawo było zawojem ,  
 Ozdobą mojego czoła .  
 Ja byłem okiem ciemnemu ,  
 Ja byłem nogą chromemu .

Ojcowskiem uchem dosłyszałem jęki ;  
 Rozejmowałem spory nieznajomych ;  
 Ja , z potrząskanej dobyłem paszczyki ,  
 Siéroce łupy łakomych .

I rzekłem sobie : z gniazdem umrę mojem ,  
 Dniami Fenixa dni moje będą ,  
 Korzeń méj palmy napoi się zdrojem ,  
 A krople rosy jej liście obsiędą ,  
 Sił będzie memu przybywać wiekowi ,  
 Łuk się w méj ręce odnowi .

Każdy koło mnie stał skromnie ,  
 Milcząc zważał moje słowa ;  
 Nikt wtóry nie mówił po mnie ;  
 Rosą była moja mowa ;  
 Gdym ich orzeźwiał mojemu słowy ,  
 Usta otwarli , jak na deszcz majowy ;  
 Gdym się uśmiechnął , oni weseli ,  
 Czoła mojego zachmurzyć nie śmieli ;  
 Gdym do nich przybył , jam pierwszy zasiadał ;  
 Ja , prawem ojca , nad nimi władał ;

Jak król, mieszkałem pomiędzy niemi ;  
 Jako cieszyciel , między smutnemi.

K. z KR.

## Z TEGOŻ.

O! jakże smutne życie człowieka !  
 Skąpe dni gronko w goryczy mu płynie ;  
 Jako kwiat zejdzie i zginie ,  
 Jako cień leci i zniku !

I mnież ty ścigasz ślędczemi oczyma ?  
 I mnie chcesz z sobą na sądy wywodzić ?  
 Mógłbym się czysty z nieczystych urodzić !  
 Nigdzie przed tobą niewinnego niema.

'Tyś człowiekowi dni jego odliczył ,  
 Ty ich miarę masz na oku ;  
 'Tyś mu zakres ograniczył ,  
 Za który nie stąpi kroku.

Drzewoziemi , chocia ścięte ,  
 Jeszcze się cieszy nadzieją :  
 Że , z pnia jego rozwinięte ,  
 Liściem się prątki odzieją.

Ale gdy ziemia zawrze człowieka ,  
 Któż się domodli , aż wstanie ?  
 Oto już morskie stęchły otchłanie ,  
 Zspiekłych łożysk uszła rzeka ;  
 On leży , grobu nie rzuci .  
 Chmury zcedzone deszczu już nie leją ;  
 Już się i nieba starzeją ,  
 A jego nikt nie ocuci .

Gdybyś ty kiedyś , w tej śmierci krainie ,  
 Ukrywał nędznych , aż gniew twój przeminie ,  
 Wtedybyś może i mnie wspomniał sobie ,  
 Możebyś dla mnie inny cel naznaczył :  
 Czekalbym , czekał , w mym grobie ,  
 Ażbyś , co przeszło , zabaczył .

Może się stęsknisz za dziełem rąk twoich :  
 Ty mię zawołasz , ja wstanę ;  
 Będę stróżem kroków moich .  
 Już winy moje nie będą pisane ;  
 Com zgrzeszył , będzie zwinięte ,  
 Pod mą pieczęcią zamknięte .

Lecz ach ! jak góra z czasem się pograży ,  
 Jako opoki się skruszą ,  
 Jak woda kameń wydraży ,  
 I wiatry morza wysuszą ;  
 Tak dech twój z czasem rozwieje ,  
 Choćby najtrwalsze nadzieje .

Ty wpadniesz na człowieka , powalisz o ziemię ;  
 Oszepeczonego , rzucisz w dół głęboki :  
 On , jeniec wiecznej pomroki ,  
 Nie wie , co nad nim cierpi jego plemię ;  
 A póki żyje boleje ,  
 I sam nad sobą łyże leje .

K. z Kr.

## ( Z TEGOŻ .

Człowiek srebro dobył z lochu ,  
 I żyły złota wytropił ,  
 Żelazo oczyścił z prochu ,  
 I z kamienia miedź wytopił .

On się w swej matki zagrażył wnętrzości ,  
 Tam jój żyły rozpatrywa ;  
 Kamień graniczny odsunął ciemności ;  
 W krainie śmierci skarbcę zdobywa .

Kruszcem opoki przedraży ;  
 Przejdzie głębie głuchych cieni ;  
 Na samotnej wód przestrzeni ,  
 Po bezślednich wałach krąży .

Pod skałą , która na grzbiecie chleb rodzi,  
 Której pieczary ogniem wypalone ,  
 Człowiek , złotem opylone ,  
 Łoże szmaragdu znachodzi.

Tam , kędy oko sępa nie dosięże ,  
 Gdzie nie pojrzał orzeł śmiały ,  
 Gdzie jaskini zwierz nie lęże ,  
 Ani kiedy lw y ryczały :

On się przekowa przez twarde krzemienie,  
 Góry z korzenia wysadzi ;  
 Z opok wypuści strumienie,  
 I kędy zechce prowadzi ;

Wystąpić każe zdrojom z pod granitu,  
 Wyniesie wszystko , co ukryte nisko.  
 Ale gdzie szukać mądrości pobytu,  
 Gdzie jest rozumu siedlisko ?

Próżno człowiek o nią bada,  
 Nie u ludzi jęj mieszkanie.  
 Nie masz jęj we mnie ! morze odpowiada ;  
 Nie masz jęj u nas ! wołają otchłanie.

Próżne za nią ludzkie żądze,  
 Nie kupić jęj za pieniądze.  
 My jęj tu w sobie nie mamy !  
 Wołają góry i jamy.

Pytać się o nią u Pana ,  
 Bo jemu droga jej znana ;  
 Bo on na wskrós przejdzie słońce ,  
 On okrąży świata końce.

On , kiedy wiatrom wydzielał wag i,  
 Gdy morze brzegiem osaczał,  
 Kiedy dęszczowe rozwieszał flagi,  
 Piorunom drogi oznaczał ;  
 Wtedy ją widział, wybadał,  
 Rozpoznał , i inie nadął ;  
 Wtedy rzekł : „Bojaźń Boga, mądrość śmiertelnego ;  
 A rozum: chronić się złego.“

K. z KR.

---

## UBOGA WDOWA. \*

Zbogacon łupami wojny,  
 Ozdobiony wieńcem chwały,  
 Przedsięwziął , Pan bogobojny,  
 Wznieść Bóstwu kościół wspinały.

\* Myśl tej legendy, wzięta z obrazu, znajdującego się w przedsiönku kościoła Dzikowskiego, w Galicyi.

Ledwie piękna myśl blysnęła ,  
 Natychmiast miejsce zakreślił.  
 Rączy się bierze do dzieła  
 Mienić w skutek , co zamyślił.

Święta praca! zewsząd do niej  
 Tysiące się ludu zbiega.  
 Turkot wozów , tentent koni ,  
 I huk młotów się rozlega.

Jak laską zaczarowaną ,  
 Wydarła z głębi natury,  
 Z szybkością nieporównaną ,  
 Piętrzą się wspaniałe mury.

Ucieszon postępy temi ,  
 Nagrodą bogacz zachęca ;  
 I chlubi się przed wszystkimi ,  
 Jak wiele Bogu poświęca.

W ustroni , wdowa uboga ,  
 Okryta odzieżą lłchą ,  
 Widząc gmach na chwałę Boga ,  
 Łzę tylko ronila cichą.

Tylko jej się myśli wily  
 O kościele , i o złocie ;  
 Lecz w niezgodzie z chęcią sily,  
 Krajały serce sierocie.

Bóg , co widzi chęci skryte ,  
 Serce nad wszystko ocenia ,  
 Pociesza biedną kobietę ,  
 Pobożne wieńczy pragnienia.

Spuszcza na nią sen przyjemny.  
 Błysk otwarł niebios podwoje ,  
 Z głębi zabrzmiał głos tajemny :  
 „Bóg serce przeniknął twoje.

„Chcesz woli dopełnić Pana ,  
 „I pomnożyć chwałę Bożą ,  
 „Kup dla wołów wiązkę siana ,  
 „Co cegłę na kościół wożą.“

Wstaje , ze snu przebudzona ,  
 Tkwi jej w myśli wola Pana ,  
 Biegnie , biegnie ucieszona ,  
 I kupuje wołom siana.

Znowu z nieba głos słyszano ,  
 Aż się ziemia wstrząsła cała :  
 „Milsze Bogu twoje siano ,  
 „Niż ta Świętynia wspaniała.“

St. z Dz.



# UCZEŃ CZARNOKSIĘŻNIKA.

*Ł. Goethego.*

Poszedł przecię mistrz mój stary.

Dawno miałem już ochotę

Żeby zrobić jakie czary,

Jego duchom dać robotę :

Znam ja jego cuda ,

Słowa , i zwyczaje ;

Więc , jak mi się zdaje ,

To i mnie się uda.

Dalej , dalej !

Zywo , skoro !

Wody sporo !

Kąpiel nalej !

Do zamiaru , w téj godzinie ,

Niech mi tutaj woda spłynie !

Teraz z kąta pójdź , ożogu !

Odziej mi się tym susfałem.

Dawno służysz przy tym progu ,

Teraz panem ja zostałem.

Słuchaj ! co chce pan :

Miej dwie nogi zdrowe ,

A na wierzchu głowę ,

A na głowie dzban.

15\*

Dalej, dalej!

Żywo, skoro!

Wody sporo!

Kąpiel nałej!

Do zamiaru, w tej godzinie,  
Niech mi tutaj woda spłynie!

Otóż! jużci jest u brzegu,  
Jako strzała w wodę wpada,  
Jako piorun szybki w biegu,  
Przyniósł wody dzban nie lada,

Raz — drugi — i trzeci;

Odwrócił się tuż,

Odleci — przyleci:

Pelno wody już.

Ale dosyc!

Dosyc tego!

I — do czego

Tyle nosić?

Otóż znowu! — O! ja głowa!  
Wszak ja zapomniałem słowa.

On posłuszny temu słowu,  
Czém był dawniej, ma być znowu.  
Znowu niesie, znowu leje!

Co tu począć? — Oszaleję!

Co chwila przybywa;

Tu już wody stek;

I zewsząd napływa,

Jakby ze stu rzek.

Dłużej czekać  
 Nic nie nada,  
 Trzeba siekać!  
 Bo to zdrada.

Coraz więcej strach mię tłoczy;  
 Co za mina! jakie oczy!

O przekłety djable stary!  
 Wszak już jestem, jak w powodzi;  
 Nie ma temu końca, miary,  
 Woda progi już przechodzi.

Drągu niegodziwy!  
 Pójdiesz kiedy stąd?  
 Słuchaj, pokiś żywy,  
 Ruszaj zaraz w kąt!

Będziez tedy  
 Koniec kiedy?  
 Jak cię schwytam,  
 I przywitam,

Hajdamaku! w sztuki setne,  
 Jako wiecheć, szablą zetnę.

Otóż znowu! — już się wlecze!  
 I z ustugą swoją djablą.  
 Czas już po łbie zmierzyć szablą,  
 Niech mu z wodą jucha ciecze!

Tęgo! — wyśmienicie!  
 Otóż z niego dwóch:  
 Teraz czuję życie,  
 Wstąpił we mnie duch.

**Boże drogi!**

**Cóż ja robię!**

**Części obie**

**Mają nogi!**

**Co za wielkie, straszne gbury;**

**Rosną i rosną do góry!**

**Więc nowego draby kształtu,**

**Coraz więcej niosą wody.**

**Już zalane ganki, schody.**

**Panie Mistrzu, ratuj! gwałtu!**

**Przyszędł — Jak sięzbałem!**

**Pomóż łaską twą!**

**Duchy wywołałem,**

**Ani odejść chcą.**

**„Hej! ożogu!**

**W dawną postać!**

**Przy tym progu,**

**W kącie zostać!**

**Aże znowu, w swój potrzebie,**

**Mistrz twój stary wezwie ciebie.“**

K. z KR.

# ŚPIEWAK.

*Do Goethego.*

„Czyżaj to piosnkę słychać na moście ;  
 „Słyhać przed zamkiem u bramy?  
 „Niech tu przystąpi , bliżej go wproście ;  
 „A bliżej go posłuchamy.“  
 Król ledwie skończył , paż z sali zginął ;  
 Paż znowu wrócił , król znowu skinął :  
 „Wprowadź starego przedemnie.“

„Witam rycerze ! Witam was panie !  
 „O jakież niebo tu błyska !  
 „Gwiazda przy gwiazdzie ; a razem na nie ,  
 „Niemam w mych piersiach nazwiska.  
 „W sali blask , jakby na drugim świecie !  
 „Zgaśnijcie oczy , bo nie możecie  
 „Znieść tak jasnego widoku.“

Zamknął oczy śpiewak , i uderza  
 Głosem w ulubione tony ;  
 A rycerz każdy wzdychał do pancerza ,  
 I do swojej ulubionej.  
 Król , czując w piersiach z pieśni osłodę ,  
 Kazał staremu podać , w nagrodę ,  
 Łańcuch ze złota ulany.

„Ty mnie nie dawaj złotego łańcucha ;  
 „Daj łańcuch dla twych rycerzy,  
 „Každy z nich dzeluy, rozkazów usłucha ,  
 „Na nieprzyjaciół uderzy;  
 „Daj łańcuch panu pierwszemu w radzie ,  
 „Dość on ciężarów na siebie kładzie ,  
 „Weźmie i ten ciężar złoty.“

„Śpiewam ja , śpiewam , jak ptak samotnie ,  
 „Wpięknym gajku nad wodą ;  
 „A moja piosnka , dla mnie , stokrotnie ,  
 „Jest najbogatszą nagrodą.  
 „A prośba moja ta jest jedyna :  
 „Każ mi dać puhar starego wina ,  
 „Puhar ten złoty i wielki.“

Nalano — wypił. „O! te są jedynie ,  
 „Najświętsze dla nas kropelki.  
 „Błogosławieństwo niech na ten dom spłynie ,  
 „W którym niczém dar tak wielki.  
 „Bóg wam da szczęście , mężni rycerze !  
 „Wtenczas dziękujcie Bogu tak szczerze ,  
 „Jak ja wam teraz dziękuję.“

ANTONI SZABRAŃSKI

## KWIATEK.

*Pieśń Więźnia, z Goethego.*

### WIĘZIEŃ.

Znam ja , znam kwiatek z listkami pięknemi ,  
 Niewinny kwiatek , i święty !  
 Szukałbym ja go i po całej ziemi ,  
 Ale w więzieniu zamknięty .  
 Zginął w boleściach , w nieszczęśliwej dobie ;  
 A w swobodzie miałem go przy sobie ,  
 Miałem mój kwiatek kochany .

Próżno ja z wieży rzucam moje oko ,  
 Nigdzie go niema i niema .  
 A choćbym ujrzał pod zamkiem , głęboko ,  
 Jakże go zerwać oczyma !  
 Ktokolwiek z ludzi kwiat mój tu docisnie ,  
 Kto moim kwiatkiem choć zdaleka blyśnie ,  
 Ach ! temu moje dam serce !

### RÓŻA.

Ja kwitnę cudnie , tu , u twojej kraty ;  
 I ja ciebie słyszę , biedny !  
 Piękna ja róża , kwiat nad wszystkie kwiaty ;  
 A ty myślisz o mnie jednej .

Królową jestem , nad kwiatów kobiercem.  
 Równie panuję nad twojém sercem :  
 To ja twój kwiatek zapewne.

W I Ę Z I E Ń .

Zielone szaty, szkarłatne masz lice ,  
 O piękna , luźna istoto !  
 Dlatego ciebie przynoszą dziewice ,  
 Nad klejnoty i nad złoto.  
 Twój wianek, dla nich, choć najdroższym datkiem ;  
 Ale ty jednak nie jesteś tym kwiatkiem ,  
 Do którego wzdycham w sercu.

L I L I A .

Róża , bo zawsze i chwali się dumnie,  
 I wynosi rąbki swoje ;  
 Lecz spojrzij na mnie , a znajdziesz tu u mnie ,  
 Znajdziesz liliowe stroje.  
 Kto wierność kocha , z wierności korzysta ;  
 Kto jest tak czysty, jak ja jestem czysta ,  
 Ten mnie wybierze dla siebie.

W I Ę Z I E Ń .

I jam jest czysty, i jam jest bez skazy,  
 I mnie nic piersi nie plami ;  
 Jednak , w więzieniu , po tysiąc się razy  
 Zalęwam samotnie łzanił.



Twoja mnie postać, twa piękność, zachwyca ;  
 Lubaś i czystaś, jak gdyby dziewica :  
 Lecz mój kwiat czystszy i miłszy.

#### GOŹDZIK.

To ja zapewne, ja goździk, z daleka  
 Słyszę o sobie rozmowy :  
 Tu na mój kwiatek, już od dawna, czeka  
 Z niecierpliwością sadowy ;  
 Z ust moich płyną nieustanne wonie,  
 A na mém licu, i na mojem łonie,  
 Świeci tysiące promieui.

#### WIĘZIEŚ.

Goździk jest kwiatów rozkoszą jedyną,  
 Ma wiele tajemnych rączek ;  
 Te mu raz listki ku słońcu rozwina,  
 To znowu ściskają w pączek.  
 Ale promienie już mnie nie unoszą,  
 Blask wyszukany nie dla mnie rozkoszą ;  
 Mój kwiatek cichy i skromny.

#### FIOLEK.

Kłęczę i kryję mych kwiatów korony,  
 Do mówienia niemam chęci ;  
 A jeśli mówię, to jak zaczepiony  
 Tylko od twojej pamięci.

Jeśliś twój kwiatek, to mnie mocno boli,  
 Że ci nie mogę, do twojej niewoli,  
 Woń z moich piersi dorzucić.

WIĘZIEN.

Wiele, fiołku, tobie się dostało:  
 Kwiat twój luby oko pieści,  
 Woń w serce bije; ale to za mało,  
 Na moje gorzkie boleści.  
 Próżno wyrzekam, i próżno się żalę;  
 Bo na tej górze, na tej pustej skale,  
 Nie ma kwiateczka mojego.

O! tam się błąka, tam z biegiem strumienia!  
 Najczulsza z dziewic na ziemi,  
 Płacze, i pragnie kochanka z więzienia  
 Wydobyć łzami swojemi;  
 Niebieski kwiatek zrywa, i gdy skromnie,  
 Skromnie zawoła: „Nie zapomnij o mnie!“  
 Ach! to mój kwiatek jedyny!

Niczem odległość, gdy dusze się spoją.  
 Ja duszę miłością pieścę;  
 Widzę kochankę, tu, przed duszą moją:  
 I w więzieniu żyję jeszcze.  
 A kiedy serce mdleje nieprzytomnie,  
 Tylko zawołam: „Nie zapomnij o mnie!“  
 Wraz oddech życia przybędzie.

ANTONI SZABRAŃSKI.

**ZIMOWA PIOSNKA,***W. Bürgera.*

Już sypie śniegi, i ścina lody,  
 Świszcząca zima.

O! wy kwiateczki, ptaszki, jagody!  
 O! już was niema!

Białe, błękitne, różowe stroje,  
 Zwiał śnieg na zgubę;  
 A jednak ja się o was nie boję,  
 Kwiateczki lube!

Bo moje dziewczę, ma, mój aniołek,  
 Kwieciste pole;  
 Ma w licu róże, w oczach fiołek,  
 Lilię w czole.

Skowronki moje, słowiki moje,  
 Zwiał śnieg na zgubę;  
 A jednak ja się o was nie boję,  
 Ptaszka lubel!

Bo moje dziewczę, gdy śpiewać zacznie,  
 Tak jak ja życzę,  
 Ma głos skowronka, i ma nieznacznie  
 Słówka słowicze.

Wiśnie, jagódki, słodkie napoje,  
 Zwiał śnieg na zgubę;  
 A jednak ja się o was nie boję,  
 Jagódki lubę!

Bo moje dziewczę, słodkiem obliczem  
 Trąci, i ściśnie,  
 I ustek poda; a wtenczas niczem,  
 Jagódki, wiśnie.

Nie dbam ja o Maj, nie dbam tak wiele;  
 Bo tu radosna,  
 W mojej dziewicy, w moim aniele,  
 Jest moja wiosna.

ANTONI SZABRAŃSKI.

## PIEŚŃ

### *Do Wietrzyka.*

Poszła Hanna z naszej ziemi!  
 Wietrzyku naszej dziedziny!  
 Leć za nią, w obce krainy;  
 Leć za nią z woniami twemi.

Bez jęj tchnienia i urody,  
Na co kwiatów, i ochłody?

Przez góry, miasta i niwy;  
Z woniami ścigaj ją wszędzie.  
A kiedy mijac ją będzie,  
Jaki młodzian urodziwy;  
Zasłoń jęj oczy włosami,  
Niech jęj serca nie omami.

Gdy będzie śpiewać po lesie,  
Na każdym witaj ją drzewie;  
Niech każdy listek w powiewie,  
Moje ku niej imię niesie.  
Mów jęj we śnie, szeptaj w drodze,  
Jak po łakach smutny chodzę.

Gdyby myśli jęj marzyły;  
Że ją słowa moje zwiody:  
Odlamże gałązkę jodły,  
Uderz, uderz z całej siły! —  
Albo tylko nastrasz trochę;  
Niech porzuci myśli płocze.

Ale gdyby, wiarolomnie,  
Niepamiętna i niestała,  
Gdzieś obcego pokochała:  
Nie zabawiaj, powięj do mnie,

I od żmii przynieś jadu;  
I mnie zawiěj — strac bez śladu.

K. z KR.

---

## PIEŚŃ.

Boskiej roli gospodarzu,  
Kopaj doly, mój grabarzu!  
Lecz nie blisko tej mogiły,  
Gdzie się schylił krzyż drewniany;  
Bo tu leży Józio miły,  
Mnie od Boga obiecany,  
Kwiatczkami posypany.

I mnie kiedyś, w wieku kwiecie,  
Obok niego pogrzebiecie;  
Bo mnie jemu dać nie chciano,  
Ze nie byliśmy równemi:  
Teraz równe nasze wiano,  
Z nim podzielę lokiec ziemi;  
I będziemy bogatemi.

K. z KR.

---

## ŚPIEWKA.

Popękajcie,  
 Ale grajcie,  
 Nieszczęśliwe stróny;  
 Bo tak śpiewał,  
 Bo tak grywał,  
 Jasio oddalony.

On ośmielał,  
 Rozweselał,  
 Niezabawnych gości;  
 A nie jedna,  
 Na to, biedna,  
 Pękała z zadróści.

Ej ta zima,  
 Końca niema,  
 Jak smoła się wlecze.  
 Jak przybędzie,  
 Przy mnie siędzie;  
 Już mi nie uciecze.

Mnie się mało  
 Nie krajało  
 Serce tém rozstaniem;  
 Gdy odchodził,  
 I przychodził  
 Z nowem pożegnaniem.

W myśli mojej  
 Tak mi stoi,  
 Jakby w dzień dzisiejszy;  
 Jak się splonił,  
 Gdy się skłonił  
 Raz najostatniejszy.

Popekajcie,  
 Ale grajcie,  
 Nieszczęśliwe stróny;  
 Bo tak grywał,  
 Bo tak śpiewał,  
 Jasio oddalony.

K. z Kr.

## CYGANKA I HALINA.

### CYGANKA.

Pokażno mi, panno, rączkę,  
 Szczęście ci wywróżę;  
 Będiesz mieć ślubną obrączkę,  
 Już w tym roku może.



Oj ! wy tego wyglądacie ;  
 Jak ziółeczko rosy ;  
 I gorące przesyłacie  
 Modły pod niebiosy.

HALINA.

Ni ja chatki, ni ja roli,  
 Ni krówki w oborze ;  
 Któż w sieroctwie, któż w niedoli,  
 Ująć serce może ?

Czyż nie znacie tej drużyny,  
 Co goni za złotem ?  
 Cnota, serce, u dziewczyny,  
 To wszystko nic potém.

CYGANKA.

Nie wierz temu, dziewczynino !  
 Ma świat swe obroty.  
 Białą rączkę pokaż jéno,  
 Kochaneczko cnoty !

Tu, ze drżeniem, dłoń otwarła  
 Nadobna Halina ;  
 Drugą rączką główkę wsparła,  
 I dumać poczyną.  
 A Cyganka przemądrzała  
 Długo na rękę patrzyła —

Oczy mruży — głową kiwa :  
 „O będziesz , będziesz szczęśliwa !  
 Bo te krzyże , co się wiążą ,  
 Te strumyki , co tu krążą ,  
 I ta wieża od kościoła ,  
 I ten wieniec , co do koła ;  
 Wszystko , wszystko wróży ładnie :  
 Że ci chłopczyk w oczko wpadnie.“  
 Przy wspomnieniu o chłopczynie ,  
 Róże płoną na Halinie ;  
 Chciała spytać o kochanka —  
 Lecz zniknęła gdzieś Cyganka.

Halina się zadumała ,  
 Jeszcze na rączkę spojrzała ;  
 Znowu w ogniach , znowu zbladła :  
 Na murawę lezka padła .  
 Tysiąc myśli krąży razem ,  
 Staje obraz za obrazem :  
 Wszystko serca nie nasycą .  
 Jakaś ciężkość i tęsknica ,  
 Choć z westchnieniem trochę spłynie ;  
 Ciężko na sercu Halinie .  
 „I cóż mi się , biednej , stało !  
 Czyliżby to snem być miało ?  
 Ale , rzekłszy prawdę szczerze ,  
 Ja temu trochę i wierzę .  
 Czemużby to serce tkliwe  
 Wiecznie było nieszczęśliwe ? !

Wszak dla bliźnich się otwiera !  
 Halka biednych chętnie wspiera ,  
 Z sąsiadami się nie klóci ,  
 Grosz w kościele nie raz rzuci ,  
 Nie leni się do roboty ,  
 Znosi troski i kłopoty .  
 Ach , jakhy to pięknie było !  
 Jakże o tem myśleć miło !  
 Sięrota , co dziś , w posłudze ,  
 Musi dasy znosić cudze ;  
 Ta sięrota , pani domu ,  
 Słodziłaby życie komu !  
 Widzę piękny ślubny wianek :  
 Przy nim stoi mój kochanek ,  
 I przyjemnie się uśmiecha ;  
 A do niego serce wzdycha .  
 Widzę druchnę , w śnieżnej bieli :  
 Rozmarynem družbów dzieli ;  
 A zazdrośném okiem gada ,  
 Żeby memu szczęściu rada —  
 Ale gdzież ja się unoszę !  
 Znikły z dymem te rozkosze ,  
 Okłamała mię Cyganka ;  
 Niema szczęścia i kochanka !“

St. z Dz.

## ANIOŁKI I ADELICIA.

### ANIOŁKI.

Nie do nas, dziecko miła!  
 Jużś skosztowała świata;  
 Pieścili cię Mama, Tata :  
 Ziemia tobie niebem była.

### ADELICIA.

Prawdę, prawdę wy mówicie,  
 Dobrze na ziemskim padole.  
 Słodkie było moje życie,  
 Jednak tutaj z wami wolę.

Adelcia wszystkich kochała:  
 Wszyscy Adelcię kochali,  
 Myśli prawie zgadywali;  
 Jednak nie raz zaplakała.

O! gdybyście wy wiedzieli.  
 Co się czasem u nas działo,  
 Rzeklibyście do Adeli :  
 Porzuć, porzuć nędzne ciało.

A Adelcia jednak żyła,  
 Bo Bóg kazał żyć w niedoli;  
 Na rodziców lży patrzyła  
 Ale dzisiaj z wami woli.

Przyjmcież teraz mnie do siebie,  
 Zróbcie miejsce dla Adeli;  
 Wszak nagroda czeka w niebie,  
 Tych, co na ziemi cierpieli.

Aniolki się roześmiały,  
 Przyjęły ją w swoje grono;  
 Do przybytku boskiej chwały,  
 Na rączkach ją zaniesiono.

ST. z Dz.

## ZAPYTANIE.

Powiedz mi, droga Mamo! raz Wandzia pytała,  
 Co droższego jest w życiu : czy cnota , czy chwala ?  
 Wandziu! odpowie matka, ty nie myśl o chwale ;  
 Chciej tylko poznać cnotę , i kochaj ją stale.  
 Niech twe serce cnotliwych tylko chwałę lubi ;  
 Bo pierwsza zawsze zbawia, druga często gubi.

WALENTYNA T...

## KAROLEK I SŁOŃCE,

*Bajka.*

Czasem dobrze życzących nie lubimy ludzi.  
 Raniutko wstało słońce, i Karolka budzi;  
 „Ale dajże mi pokój!“ — rzecze rozgniewany.  
 „O nie!“ — odpowie słońce — „wstawaj mój kochany!“  
 — „Tylko się chwilkę zdrzymę, bo to bardzo miło.“  
 — „Przewyciężyć lenistwo milójby ci było.“  
 — „Ach! jakżeś uprzykrzone!“ — A słońce się śmiało,  
 I w oczy mu zaglądało.

Rad nierad, musiał wstawać . . . ale cóż za zmiana!  
 Biegnie zaraz chłopczyzna do ogródka zrana.  
 Ogródek miłą wonią napelniony cały;  
 Tu się kwiatki krzewiły, tam ptaszki śpiewały;  
 Tu, rosą pokrzepione, zielenią się drzewa;

Łagodny wietrzyk powiewa :  
 Chłopczyk, jakby na nowo na świat się urodził,  
 Z nieznanem dotąd czuciem po ogródku chodził;  
 Mile wspominał słońce, wśród tylu słodczyzy;  
 I rzekł: „Teraz poznaję, kto mi dobrze życzy.“

Str. z Dz.

## MYSŁ MATKI.

Jeszcze w kolebce , raz Helenka mała,  
 Pod okiem matki , zwolna zasypiała ;  
 Zmrużyła oczki — znów się obudziła ,  
 Chciała coś mówić — ale tylko rączki ,  
 Z miłym uśmiechem , ku matce zwróciła ,  
 Chwytając chciwie pięknej róży pączki ,  
 Któreimi ona kolebkę stroiła.  
 Lecz niedługo (bo zawsze tak u dzieci bywa)  
 Znuudzona różą , Helenka usnęła.  
 A wpatrując się w nią , matka troskliwa ,  
 Sparta na dłoni , tak myśleć zaczęła :  
 O! gdybyś zawsze , kochana dziecino ,  
 Jako ten kwiatek , była tak niewinną !  
 A chociaż lata młodości przeminą ,  
 Zawsze zachowasz szczęśliwość dziecinną.  
 O! gdyby przykład i każda nauka ,  
 Jak rosa kwiatek , umysł zasilala !  
 Wtenczas , gdy wielu próżno szczęścia szuka ,  
 Tybyś go w czynach własnych znajdowała.  
 Gdybyś nareście , ozdobo mej chatki !  
 Jak róża wonną , ty była cnotliwą !  
 Cóżby zrównało szczęściu twojej matki ?  
 Więcej od ciebie byłabym szczęśliwą !

WALENTYNA T. . . .

*Wspomnienie*

**HENRYKA HERTZBERG.**

Usechł pączek przed rozwiciem ,  
 Zgasł dzień piękny w samym ranku ;  
 Tak się stało z twojem życiem ,  
 Smutnych rodziców kochanku !  
 Dotąd patrzyli oboje  
 Na twe serce , na twe lice ,  
 Jak na całe szczęście swoje ,  
 I przyszłości tajemnice.  
 Dziś wiek luby , wiek twój młody ,  
 I w piersiach czyste płomienie ,  
 I w licach kwiatek urody :  
 Całe po tobie wspomnienie.  
 Tak , gdy twardy los ogłuchnie ,  
 Próżno człowiek z marzeń klei  
 Przyszłość lubą ; bo wiatr dmuchnie —  
 I już po całej nadziei.  
 Pokój ! słodki pokój tobie !  
 Uchły z tobą młode kwiatki ;  
 Zgasł poranek z tobą w grobie ;  
 Niemasz ojca , niemasz matki !  
 Lecz tam ojciec , tam twój , w niebie ,  
 Przyjął cię , aniolku mały !  
 A po tobie , i dla ciebie ,  
 Łzy tu z nami pozostały .

ANTONI SZABRAŃSKI.



## POCIECHA.'

Jak piękna ziemia , kiedy ją wiosna rozkwieci ;  
     A miesiąc , ze drżeniem ,  
 Wydziera z chmur srebrne oblicze , i świeci  
 Długim , bladawym , umarłym promieniem !  
 Wtenczas milczenie , woń , kroplista rosa ,  
     Ogarnie zmysły człowieka ;  
 A w czystych myślach , w czystsze niebiosa  
     Dusza ucieka .  
 Wtenczas , komu , na piersiach , boleść jak glaz cięży ;  
     Kto nieszczęścia ani Izami ,  
 Ani rozumem nie przewycięży :  
 Ten niech myśl smutną zajmie niebiosami .  
 Niech do nich czułym westchnie wyrazem ;  
 I w gwiazdy , boskim dziwiące obrazem ,  
 Wlepi swoje spojrzenie , ale z duszą razem :  
 Odtąd nic nie zaboli , nic go nie zasmuci ;  
 Bo dusza , przez czarowne dumanie ,  
 Albo z pociechą z niebios powróci ,  
 Albo na wieki w gwiazdach pozostanie .

ANTONI SZABRAŃSKI.

# CZŁOWIEK I CIEŃ.

*L. Herdera.*

## CZŁOWIEK.

Tuś ty za mną, to przedemną!  
 Chcesz mnie ciągle prześladować,  
 I, twą postacią nikczemną,  
 Niby mój obraz malować.

## CIEŃ.

O! nie gardź twoim obrazem,  
 On jest tobie napomnieniem;  
 Gdybym nie szedł z światłem razem,  
 To ty w koło byłbyś cieniem.

Jeśli słońce jest przed tobą,  
 Wtedy ja w tyle zostanę:  
 Lecz zostaw słońce za sobą;  
 Ja, twój cień, przed tobą stanę.

K. z KR.

## ZNALEZIENIE.

*L. Göthego.*

Raz chodzę sobie,  
 W gaju zdziaczałem;  
 I co napotkać,  
 Ani myślałem.  
 W tym spojrzę — kwiatek,  
 W sukience własnej,  
 Jak oczko piękny,  
 Jak gwiazdka jasny.

Chcę zerwać; a on  
 Rzekł mi ze łzami:  
 „Zerwiesz — to uschnę,  
 Razem z listkami.“

Włęc, w tym ogródku,  
 Dolek mu robię;  
 Tam go z korzeniem,  
 Wkopałem sobie.

Teraz, w tym miejscu,  
 W każdej mi wiosnie,  
 I kwitnie zawsze,  
 I zawsze rośnie.

ANTONI SZABRAŃSKI.

## WDZIĘCZNOŚĆ.

Sądziłam nie raz , że co serce czuje,  
 To ustom łatwo wynurzyć się daje :  
 Lecz cóż ? choć wdzięczność dawno je zajmuje,  
 Chcąc ją wyrazić, ustom słów nie staje.

I odwagę postradały, i  
 Na wdzięczności wynurzenie ;  
 Po której tylko zostały,  
 Nieśmiałość i uwielbienie.

Serce tylko wdzięczność tkliwą,  
 Prawdziwie zna i rozumie ;  
 Ono ją czuje tak żywo :  
 Szkoda , że mówić nie umie.

WALENTYNA T...



**PRZEOBRAŻENIA**

*Fantazyja.*

..... siam' vermi,  
nati a formar l'angelica farfalla.

Gdyby, jaki badacz natury, doniósł nam o zjawieniu się zwierza, co w pierwszych pięciu życia swojego léciech pełza jak wąż, potem w ziemię się wciska, a, osnuwszy się najcieńszą przędzą, zwierza pysk, kurczy członki, i zeszcły kadłub w jedwabnej za-

myka oponie; że ta mumia, bez żywności trzy lata jeszcze przebywszy, jednym razem ruszać się zaczyna, jedwabne przegryza więzienie, wytłacza się z ziemi, i w lot z ptastwem skrzydłami bije powietrze: komużby, coby to słyszał, nie przyszły na myśl przemiany Owidego, albo Szeherezady powieści? A jeżeliby dał wiarę, jakieżby dopiero jego było zdumienie, gdyby się dowiedział jeszcze: że ten kłębek jedwabny tysiące rąk ludzkich porusza, że go tysiączne wyrabiają warsztaty, że całe uposaża ludy; i że część mieszkańców ziemi inaczej się żywić, inaczejby gospodarować musiała, gdyby *jedwabnik* rodził się od razu motylem, i nie był wprzód gąsienicą. Tak przecięż jest; i lubo nie każdy owad jest jedwabnikiem, każdyby przecięż równie jak on nas zadziwił, tylko że, drogiego nie snując przędziwa, w ukryciu cuda przyrodzenia powtarza: a tak mijają nieobaczone wielkie widowiska świata; bo cheiwy człowiek nie zbliży się do natury, aby zaraz nie zażądał zapłaty.

Ten *motyl*, co w ciepłym kołyszce się powietrzu, i, już nektar z kielicha pokrzywy pije, już przysiada do róży, już tłusty mijają słonecznik, już po nad makami krąży — nie takim był zawsze, jakim go widzisz w tej chwili. Kiedy się z jaja wyklął, przez kilka miesięcy była to gąsienica, w postaci robaka, co na szesnastu krótkich czołgała się nóżkach, liście ostremi cięła cążkami, i dwunastoma tak małymi patrzyła oczami, iż się je ledwie przez mikroskop dowidział. Dzisiaj, to samo stworzenie ma skrzydła, szybko przed twoją ręką ulata, wzbija się w powietrze, i z przed oczu znika. Z szesnastu, dziesięć nówek zginęło, sześć odmieniło się zupełnie, cążki zwinięta zastąpiła trąbka; bo ten, co żarłocznie mięsiste liście przecinał, dziś poi się cukrzonemi kwiatów sokami. I głowa już nie ta sama, wyrosły z niej dwa rogi; a miasto dwunastu niedojrzanych oczów, widzisz dwa wielkie, ze dwudziestu tysięcy najmniej soczewek złożone, z których każda oddzielnym się być okiem wydaje. Zajrzysz do wnętrzości,

w gąsienicy tysiące muszkułów rozpoznasz innych zupełnie jak w motyłu: w tamtej całe prawie ciało jest żołądkiem, w tym ledwie dojrzysz żołądka, bo się w cieniu- chne porozdzielał nitki; brzuch dwie jajeczne wiązki zajęły, i inne niewidziane dotąd organa; znikła jedwabiorodna guma; znikły dwie spiralnie utworzone trąbki, w których gąsienica płynną przerabiała przędzę.

Ale miniesz jedwabnika, porzucisz motyla; skoro ci chrabąszcz, komar, i mucha, podobne, a przecież inne, a inne zawsze nastręczą zjawiska. Tak jest, ta skrzętna mucha, co nieproszona gości przy twoim stole; co wprzód, niż ty, z twojego pije kieliszka, i pićwsza zakrojonój gruszki smakuje; potem w powietrzu ze swojemi się goni, siada i zmoczone skrzydełka zgrabnemi czyści nóżkami — przed chwilą była brzydkim robakiem, bez skrzydeł, bez nóg i bez oczu; i w cuchnącej tarzała się kałuży. Ale dosyć i dosyć! same nas zewsząd otaczają cuda, i, choćby nie chciał, człowiek



zdumiewać się musi. Lecz nie tu koniec: na to nas dziwi natura, aby nas zastanawiała; a kto się zastanawia, ten pozna. Wtedy dopiero wrzaskliwy uniesienia wykrzyknik w harmonijną zamienia się rozkosz, dziwowisko staje się prawem odwiecznym, a cud natury — *przemianą*.

A więc badajmy naturę! Nie jest ona tą zaklętą księgą, z którą czary tylko rozmawiać umiały: jój pismo jest czytelne, ale trzeba umieć je czytać; a przeczyta każdy, kto z sobą pełne serce, umysł wzniosły, uwagę, i wytrwałość przyniesie.

Z kolei widowisk natury, i przemiany owadu zwróciły na siebie uwagę człowieka. Dostrzegli fizyolodzy, że niemal każda z tych istot cztery razy swą istność przedstawia; opisali stan *jaja*, *larwy*, *pupki* i *muchy*: a ktokolwiek opisy te przeczyta, odsunie prawdę cud od siebie, ale dziwić się nie przestanie. I tak to *jaje*, które dlatego już uwagi godne, że jest zawiązkiem żywej istoty; ta *larwa*, którą już w postaci białego wałeczka w zgryzionym postrze-

gasz orzechu, już jako najęzoną gąsienicę w warzywnym sadzie wytępiasz, już robakiem różnego imienia nazywasz; ta larwa, mówię, co jest tylko maską w jej łonie tworzącego się owadu, dla którego przez cały czas istnienia swojego przerabia żywność, skóry swoje zrzuca, nakoniec w bezpiecznym ustroniu składa ciało na pozór obumarte; ta *pupka*, do powiniętego najpodobniejsza dziecięcia, dla której nie ma żywności nad tę, którą gąsienica w ostatniej chwili pożyła, nie ma więcéj przestrzeni, nad ten punkcik co go sama zaległa; ten *owad* nakoniec, który, z pod ciasnej pokrywy dojrzałe wywinąwszy członki, wzlata na skrzydłach, własny światu ukazuje obraz (*imago*), i własne plemię rozradza: wszystko to są postacie jednéj i téjże saméj istoty.

Więcéj, więcéj nierównie powiedzą fizyolodzy; mnie dosyć już i na tém: tego tylko pominąć nie mogę, że i starożytni, chociaż tysiącznych drobnego robaka muszkułów ostrém szkłem nie dośćigali, i dojrzanych misternym nie rozdzielali skalpelem, ro-

zumieli przecieź naturę; a jęj wielkości uderzały ich serce, chociaź umysł rozbięrać nie umiał. Przemiany istot, przez ich wieszczów śpięwane, co je dzisiaj świat martwy do bajecznych policzył powiastek, wielkie przechowały myśli pod kwiecistą wyobraźni osłoną. Wyniosła allegorya, przemienionęj w motyla gąsienicy, wnet się stała allegoryą natury: bo wiedzieli, jak są jednostajnymi jęj prawa; więc wszystko się przemieniać musiało, i kaźdy utwór był tylko przetworzeń kolejją. Płonał *fenix*, w kosztowném gnieździe, ogniem przez siebie samego wznieconym; z popiołów jego nazajutrz rodził się robak (*σχωληξ*); robak ptakiem skrzydlatym się stawał, i fenix, własną ukazawszy postać, zwłoki przodka swojego na ołtarzu w *grodzie słońca* (*Heliopolis*) składał, i w nieznanę ulatywał kraje. Sama *Psyche* razem duszę i motyla znaczyła. Bo tak jak poziomy robak, pożywieniem tylko zajęty, dopełniwszy powołania swojego, obumięra; i, w śmiertelną obleczonej koszulę, grzebie

się w ziemi, ale w ziemi nie zostaje; i, skoro go ciepło słonecznego dosięgnie promienia, drze grobową sukienkę, otrząsa się z prochu, i, w świetnej motyla postaci, lepsze poczyna życie, doskonałą wystawia istotę, już nie po ziemi się czołga, i już nietylko niesyte ciało nakarmia, ale w eter się wzbi-ja, i z kielicha kwiatów pije miłość i rozkosz: podobnież i ułomne ciało jest tylko doczesnym przyszłego człowieka mieszkaniem; ziemia, łóżem odpocznienia; a Przedwieczne Światło, tém wielkim słońcem, którego promień rozedrze groby, i szczęśliwych w kraje szczęścia zawoła, gdzie żyć będą i kochać na wieki.

A więc prawda, i niech prawda będzie:

..... che noi siamo vermi,  
nati a formar l'angelica farfalla.

J. D. MINASOWICZ.

## MŁODOŚĆ KOPERNIKA,

*Opowieść.*

---

Dwa tylko źródła czystej i dobroczynnej chwały, na tej przemijającej widowni światowych znikomości, mamy: czyny prawości, które tworzą, utrzymują, i upiększają porządek towarzyski; i odkrycia, które, rozwijając i doskonaląc władze umysłu naszego, wiodą nas do prawdziwej znajomości porządku fizycznego świata.

JAN SNIADOCKI.

*W mowie o Koperniku.*

Już jasne promienie pogodnego słońca błędnicie i słabnąc zaczynały; wiatr, który biały

żagiel niewielkiego statku silnie dzień cały nadymał, nieznacznie w cichy powiew zmieniać się zdawał. Piasezyste wybrzeża i wysokie łądy, wieczyste nadbrzeżne topole i symetrycznie około nich okrągło zieleniące się wiérzby, warowne zamki i gęste bory, przesuwały się szybko, przed oczyma wędrujących żeglarzy; tak, jak w burzliwych młodości chwilach, nasz umysł naprzemian odrzuca i przyjmuje, unika i goni, rozmaite przedmioty, które mu szczęście lub troski, nieprzyjemność albo chwałę, przepowiadają! Statek ten mały, kilkoma tylko osadzony flisami, płynął spokojnie i cicho, nie na wyniosłych oceanu falach, nie pośród skwarne go Nilu, ani po szumiących Renu wodospadach; ale ojczyste to były nurty, mętnie pieniącej się, i szeroko rozlanój Wisły, które, szybko od południa ku północy unosząc powierzone sobie natury płody, ułatwiały już wtedy, handlującym i podróżnym, sposoby zbliżenia się do osób ich sercu drogich, albo w stosunkach handlowych z niemi zostających.

Tak więc mały mój statek wiślany, minąwszy, od Krakowa do ujścia Bzury, tyle miast i grodów, wież i kniei, o których ślady już tylko, i wspomnienia, w podaniach rodzinnych mamy; przytwierdził spokojnie swe liny do palów, naprzeciwko warownego Wyszogrodzkiego zamku, na małej wyspce, sterczących.

Okolica ta przedstawiała, na końcu piętnastego wieku, widok prawdziwie czarujący łącznemi kwiatkami i sitowiem bagnistém umajona Bzura, wpadając w Wisłę naprzeciwko góry zamkowej, tworzyła tam dwie kępy, na których zielone łąki żywiły nieprzeliczone trzody pstrego bydła, i mnogie stada książeńcych koni; miasto, w rękodzielniczych mieszkańców obfite, rozaczało skromne swe mieszkania, u stóp wspaniałego pańskiego gmachu; zamek, z całym przepychem średnich zbudowany wieków, obwarowany strzelnicami, wieżami, i innymi owoczesnej architektury ozdobami upiększony, wznosił się szczytnie nad malowniczą zielonością winnic, które, jak wieniec

zielony, ze wszech stron mury jego otaczały. Brama zamkowa, którą od kępy, gdzie statek zawinął, doskonale widać było, miała być szczególnie ozdobną i mocną postać; most zwodzony, na grubych łańcuchach, bezdenny otwór przed samym jej progiem ukrywał: wieżyczka mała, na której jaśniała tarcza z herbem książąt Mazowieckich i Płockich; a przy niej, jakby nawiasem, zawieszona broń obca, jakiegoś zagranicznego rycerza. Ta broń, ułożona misternie, cała złotem, i drogiemi lśknąca się kamieniami, odbijała blask zachodzącego słońca promieni; i odznaczała się mocno, na sinym murze, starożytnego Piastów mieszkania. Dawno, już dawno, znikły i ślady szczątków, tych wież, tych murów, tych winnic, tych rękodzielni! Smutny i nędzny ród Izraela, obsiadł od wieków tę malowniczą górę: na miejscu winnic, wznoszą się w nieforemnych głazach ich groby. Wały Wyszogrodu zajęły rzeźnicze jatki; a tam, gdzie był zamek wspaniały, wznosi się — Bóżnica. Pamięci nawet tego wspaniałego siedliska, już



tylko w dziełach badaczyw starożytności szukać trzeba! ale ten, który, podczas dziennego upału, w budce małego statku spoczywał; ten, który teraz wychodzi na brzeg kępy, ażeby ostatni promyk światła ciekawém, lubo niedoświadczoném jeszcze ściagać okiem; ten, który nieprzeliczone gwiazdy, i wschodzący księżyc, wita młodzieńczym uśmiechem; ten nie zaginie nigdy, w pamięci współczesnych i przyszłych pokoleń, współrodaków i obcych! Bo ten młodzian, tak pięknej postaci, tak przenikliwego spojrzenia, tak wesołego czoła, jest młody Kopernik! jeszcze nieznan, jeszcze w zaciszu rodzinném tylko ceniony; ale już od innéj młodzieży różniący się o wiele: bo będąc zarazem, i pełny przymiotów, i pełny chęci sławy, nie téj szukać zamierza, która znikome tylko lub krwawe po sobie zostawia pamiątki; ale téj, która na cały wiek współczesny wyléwa blask chwwały jednego wielkiego człowieka.

Gdy już zupełnie słońce zaszło, a księżyc tylko, i tysiączne gwiazdy widokrąg

oświecały; ucichły pomału wszystkie dzien-  
ne gwary: towarzysze podróży młodego u-  
cznia Krakowskiej Szkoły, wesoło zasiedli  
na trawie około ogniska, przy którym ich  
skromna gotowała się wieczera; okna zam-  
kowe, rzęsiśtém światłem jaśniejące, odbi-  
jały je, w kryształ wód przezroczystych;  
a rżenie rumaka na łące, albo szczeknięcie  
wiernego mucyka przy chacie rybaka, prze-  
rywało jedynie powszechnie milczenie. Mło-  
dy nasz podróżny, posiliwszy się nieco, usiadł  
na obalonój przy brzegu topoli: i o rodzi-  
cach, do których go święta wiodła powin-  
ność; o współuczniach, których w Krako-  
wie zostawił; o swój bliskiej do Bonón-  
skiej Akademii podróży, słodko dumać  
zaczął. Przyszłość, jest najmilszym przed-  
miotem marzeń młodości! Wtedy kiedy prze-  
szłość, z całą rzeczywistością nabytego przez  
wiek doświadczenia, roztacza później w na-  
szej pamięci, wszystkie zawiedzione nadzie-  
je, doznane zdrady, próżne zabiegi, i inne  
tym podobne życia koleje! — młodość, czaru-  
jącym pędzlem ułudzenia, ozdabia to wszy-

stko kwiatami jeszcze nieczém nieskażonego umysłu : urok jćj wyobraźni, jak świeżo odlane zwierciadło, wystawia wszystko doskonale ; bo czas i ludzie, nie splamili jeszcze jego czystej powierzchni. Nader więc miłe były marzenia młodego przyszłego mędrca. Dążył on do Torunia, chwalebnie ukończywszy nauki w Krakowie; wuj jego, Biskup Warmiński, wysyła go, dla wydoskonalenia nabytych wiadomości, do Bononii, gdzie sławna w owym wieku była Akademia. Ale, nim się młody astronom puści w tak daleką drogę, pragnie żarliwie otrzymać rodzicielskie błogosławieństwo. Rodzice Kopernika mieszkali wtedy w Toruniu, gdzie jego przodkowie, z Krakowa do tego się przenieśli miasta. Przyjemna pora roku, i niepewność gościńców, w tych odległych czasach, nastręczyły mu pomysł odbycia tej podróży na statku, do Gdańska z pod Krakowa płynącym. Odbył ją jak najspokojniej, aż do owego wieczora, w którym statek pod Wyszogród zawinął. I już matki i ojca radosne przedstawiał sobie oblicza; już, w miłym ułudzeniu

ściskał ich nogi, całował ich błogosławiącego ręce: kiedy, w istocie mały, ale niezwyyczajny wypadek, ściągnął raptem całą roztropnego młodzieńca uwagę. Łoskot wiosła, zbliżającej się i przerzynającej nurty łódki, coraz bardziej przybliżać się zdawał. Ta łódka płynęła czas jakiś wzdłuż kępy, ażeby ją okrążyć. Dwóch ludzi zbrojnych, ale obcym zwyczajem, i dwóch prostych przewoźników znajdowało się na niej: mówili głośno do siebie żołnierze; bo ich mowa tak była w Polsce obcą, że najmniejszej obawy nie mieli, ażeby ich ktokolwiek mógł zrozumieć. Ale młody uczeń, biegły w językach wschodnich, nie stracił ani jednego wyrazu; i cały ich zbrodniczy zamiar, odgadnąwszy do razu, zniweczyć postanowił. Byli to dwaj greccy żołnierze, słuźący rycerza, ze szesepu wschodnich mocarzy; który, sposobem błąkających się rycerzy, przebywał właśnie wtedy na zamku Wyszogrodzkim: bo, dowiedziawszy się o zadziwiającej piękności Anny, córki księcia Konrada, brata panującego na Płocku Pia-

sta, postanowił udać się do Wyszogroda; ażeby, zwyczajem rycerskich czasów, skruszyć kopią, na cześć téj północnej piękności. Nicefor Laskaris, ów rycerz znakomity, ogłosił był w téj mierze swój zamysł, z pozwoleniem ojca księżniczki. Jegoto zbroja zdobyła wieżę zamkową; onto wyjeżdżał codziennie przed zamek, wyzywając młodzież krajową do osobistej walki. Lubo nikt nie przeczył piękności córki księcia, która, od wszystkich jego poddanych, dla cnót i przymiotów, ubóstwianą była; nie jeden jednak młodzieniec starał się poskramiać zuchwałość cudzoziemca, i szedł z nim w zapasy. Zwalczony nie raz, to przez Budka z Nakwasina, to przez Jana z Węgrzynowa, to przez Teofila z Gawarca, i innych młodych rycerzy Wyszogrodzkiego dworu; byłby już dawno ten kraj porzucił: gdyby nie namiętna miłość, którą powziął dla księżniczki. A lubo zawsze oziębłe, chociaż uprzejmie, i od niej, i od jéj ojca, przyjmowany; spodziewał się, że jego ród znakomity, i ukształcenie powierchowne, przy-

chylniejszą przyszłość rokować mu powinny. Ale właśnie tego wieczora, kiedy młody wędrownik żołnierzy jego wysłuchał, przekonał się Nicefor o niepodobieństwie dopięcia swego celu. Konrad i Anna, oświadczyli mu oboje, że już ręka księżniczki od dzieciństwa młodemu Bolesławowi księżciu na Lignicy obiecana: a obietnica ta, skłonnością serca stwierdzona, o żadnym innym związku zamyślać jej nie dozwala; że Bolesław niebawnie do Płocka zjedzie, tam albowiem ma się odbyć uroczyste ich wesele: i że, nie mogąc mu dać pomyślniejszej odpowiedzi, proszą go: ażeby zamek opuścić raczył, gdyż sami, wkrótce, na dwór księcia Janusza udać się mają. Chytry Laskaris, nie odstraszył się tym niepomyślnym obrotem rzeczy; udał mocno zasmuconego, ale niezagniewanego kochanka: prosił tylko księżniczki, ażeby mu jeszcze dzień jeden z sobą pozostać dozwoliła; i błagał, żeby, już tak dawno przyobiecane mu łowy, w Borowickich kniejach, jutrzejszego poranku wyprawione być mogły.

Zezwolił chętnie sędziwy Konrad na tak mało znaczące żądanie. Anna, która przedziwnie na koniu jeździła, i polowanie nad inne przekładała zabawy, obiecała, wraz z młodymi braćmi swymi, przed świtem wyjechać z zamku, a mały tylko poczet strzelców i służących miał im towarzyszyć. Czarująca piękność wieczora, obiecywała ranek pogodny: bo rosa obficie spadła na łąki, kury nie piały, pawie spokojnie zachowywały się, a bocian, towarzysz nicodstępny wieczy zamkowej, wrócił na gniazdo bez wrzasku. Pewną więc z tego było można wróżyć pogodę, bo barometru jeszcze nie znano w Wyszogrodzie; a nie wiem, czyli żabki i piskorze zastępować go już wtedy zdołały.

Wszystkiego tego, co się działo na zamku, dowiedział się, nasz młody uczeń, z ust dwóch Greków, którzy, mową ojczyzną rozmawiając, nie taili żadnego szczegółu swojej wyprawy; i rozprawiali głośno o sposobach, jakimi mieli wykonać rozkazy swego pana. Zamiar jego był: uprowadzić z sobą

księżniczkę za granicę Mazowsza, i zmusić ją do oddania mu swój ręki. Kilku ludzi jego, którzy na tamtej stronie przebywali, mieli stanąć na przeciwnym brzegu, gotowi do porwania księżniczki; oni zaś obadwa, ukryci w dość sporój łodzi, przy lądzie utwierdzonej, mieli czekać na pana swego tam, gdzie gęsty las, nad samą Wisłą, aż pod zamek podchodzi. Nicefor miał przyprować Annę do łodzi; ci dwaj zaś, dobrzy żeglarze, mieli ich na tamten brzeg przeprowadzić, nim jeszcze jakakolwiek pogoń za niemi postaną być mogła.

Kopernik, dobrze zrozumiawszy cały ten układ zbrodniczy, postanowił ocalić księżniczkę; a bojąc się uchybić pomyślniej chwili, przebył całą tę krótką noc na kępie, czuwając nad każdym poruszeniem zdradzieckiej gawiedzi.

Ledwie co szara jasność, na brzegu widokręgu, przepowiadać świtanie zaczęła, aż już trąbka myśliwska, krótkim ale wesołym odgłosem, przebudzenie się strzelców zwiastowała. Zamek nabićrał co chwila więcej



życia i okazałości: straż przyboczna księżęcia stanęła na wałach, na najwyższej wieży ukazał się giermek z chorągwią, most zwodzony zapadł powoli; a szczęk jego łańcuchów, odbiły szeroko borowe echa. Flisi powstali na statku; a spodziewając się jakiegoś osobliwego wypadku, zaczęli szypra prosić, ażeby się pod zamek przybliżył, i na jego ładzie śniadanie im gotować dozwolił. To było właśnie najgorętsze życzenie młodego podróżnego. Statek, z swym białym żaglem, wpłynął nieznacznie do młtej gęstą rogoziną obrosłej zatoki; z kąd dobrze całą górę, i drogę do kniei, widać było. Młodzieniec uprosił łatwo szypra, ażeby żagiel zwinąć kazał.

Już myśliwi ukazywać się zaczęli: nie mała chartów liczba; wiedzione na smyczach sfory ogarów, ulubionych księżęcia; sokoły, na ręku łowczych nadwornych; i poczet wesołych myśliwych, wychodząc z zamku, przy odgłosie trąb i śpiewów myśliwskich, poprzedzały młodą damę szlachetnej postaci, i, jak się domyślać można było, po

jój białej bogato przystrojonej klaczy, i szkarłatnym kontusiku z gronostajami, wysokiego rodu. Rycerz, w złocistej zbroi, z błyszczącą tarczą, i ozdobnym hełmem, towarzyszył dziewicy; ostrożnie ją przez most, i przekopy zamkowe, przeprowadzając. Mieszkańcy Wyszogroda, odgłosem wesołych śpiewów na progi swych domów wywołani, witali swą młodą panią okrzykami radości, i zwyczajnym religijnym pozdrowieniem. Anna, skinieniem głowy, wesołym dziękczynieniem, albo słodkim uśmiechem, odpowiadała na te, miłe jój sercu, dowody wdzięczności i miłości poddanych. Już cała myśliwska drużyna zapuściła się w knieje, rycerz tylko, wraz z xiężniczką, pozostał nad Wisłą; i tam, dostrzegłszy swą łódkę, w której starannie ludzie jego ukrywać się zdawali, uprosił Annę ażeby zsiadłszy z konia, kilka mu chwil posłuchania dać chciała: a wiodąc ją po łące, coraz bliżej brzegu; porwawszy raptem silnie na ręce, unosił jak najspieszniej do łódki. Ale młody uczeń nie stracił żadnego jego po-

ruszenia: widział od dawna, jak łódka z greczynami przystała do lądu; odkrył także z radością, że ci dwaj słuźalcy, opojeni miodem w nadbrzeźnej Kamiońskiej karczynie, zasnęli gęęboko, skoro tylko do lądu przybili. Juź Nicefor, ze swoją zdobyczą, przybliżał się do łódki; juź tylko krok jeden miał uczynić, ażeby w nią wskoczyć: kiedy jakiś młody, nieznanym wybacwa, przeciąwszy linę, silnym ramieniem odpycha łódź od lądu na wart; i zniwecza do razu zamiar zdradziecki. Krzyk sliśów ze statku, przywoływa kilku opóźnionych żołnierzy od straży. Nicefor, widząc, że juź tylko w ucieczce ocalenie znaleźć może, dopada konia; i ginie w gęębci boru, tarczę swoją na tące zostawiwszy. Kopernik, dokonawszy swego zbawiennego dzieła, nie pragnął wcale oznaków, ani wynurzeń wdzięczności; ale te minąć go nie mogą. Przelękniona xiężniczka wraca do zamku. Sędziwy Konrad, wszędzie zbawcy swęj córki szukać każe. Wnet skromny młodziak, w gęębci statku ukryty, wynaleziony,

i na zamek z tryumfem zaprowadzony zostaje. Tam jedno pięknej Anny wejście, jeden jej uśmiech, równie dowcipny jak czuły, nagrodziły mu sówicę, i trudy bezsennej nocy, i niebezpieczeństwo na które bezbronny dla jej ocalenia się narażał!. Ale xiążę, ojciec Anny, nie myślał na tak błahych dowodach wdzięczności poprzestać; a sądząc po prostej, lubo schludnej, młodzieńca odzieży, że nagrodą piękną odwdzieczyć mu się może, sporą liczbę sztuk złota odliczyć mu rozkazuje. Młodzieniec, wyższy nad drobnostkowe dumy wymagania, nie został tym darem upokorzony; wiedział to dobrze, że, w tak ciemnym wicku, powierzchowność ludzi znamionuje. Odmówił więc z pokorą przyjęcia tak znacznego daru.

„Rodzice moi, Panie!“ — rzekł skromnie do księcia — „nie dają mi przyczyny żądać powiększenia moich dostatków; a ja, nauczyłem się zawczasu przestawać na tém, co mi łaska ich udziela.“

„Ojcie drogi!“ — zawołała księżniczka, widząc tarczę greczyną, którą, jako zdobycz, giermkowie byli przynieśli na zamek — „ja sądzę, że ten upominek droższym nad inne, naszemu młodemu przyjacielowi, być może. Niechaj ta tarcza stanie się jego własnością: on pewnie, biegły w naukach, odgadnie, co znaczą na niej, nam nieznanym językiem, godła i napisy; a, przypomnieniem dobrego uczynku, jej widok zawsze, w jego sercu, pamięć naszą odnawiać będzie. Niechaj ją ta przepaska zdobi, którą dzisiaj we włosach nosiłam. Te dary pewnie miłsze mu będą niż złoto; bo, wybawiona przez niego od hańby kobieta, ofiaruje mu one z wdzięcznością!“

Nie mógł się więcéj opierać wybawca księżniczki: przyjął tak miłe mu upominki, i oddalił się, tysiącnie od panów i sług zegnany; i przyjacielsko, do prędkiej w Wyszogrodzie bytności, zapraszany. Nie odkrył jednak nikomu swego nazwiska: nie przez zbyteczną skromność zapewne, bo to nazwisko było wtedy mniej znaczące jeszcze, niż jest

teraz może nie jednego miernego rymotwórcy imię; ale że, nie spodziewając się nigdy spotkać z temi, którym tak istotną oddał przysługę, nie widział żadnej potrzeby wyjawienia im swego imienia.

Skoro tylko Kopernik powrócił na statek, szyper i flisi przywitali go z radością. Nie wzgardzili oni hojnością ksiąźęcia Konrada: a statek, z łaski młodego podróżnego, napełniony, za rozkazem ojca Anny, trunkami, i zapasem obfitym żywności; nie małym nawet trzosem groszy pragskich, do podziału między żeglujących na nim, obdarzony został. Uradowany nieskończenie tak pomyślnym skutkiem, swego śmiałego przedsięwzięcia, uczeń nasz młody, zawieszony drogą tarczę nad miejscem swego spoczynku, ukrył starannie w swych szatach przepaskę: ten luby dar piękności. A statek, rozwinąwszy żagiel, puścił się znowu na wart głęboki, zwolna, ową wieżę niebotyczną, górę murami sterczącą, i dzikie otaczające ją knieje, w głębi wido-kręgu zostawując.

Upłynęło jeszcze dni kilka, zaczęły młody Kopernik ujrzał się w objęciu rodziców. Skwarne południa godziny, tém bardziej dokuczają na statku będącym podróżnym; im mniej na nim przebywający ma zatrudnienia. Nie zbywało nigdy, naszemu uczniowi, na przedmiotach umysł jego i spostrzeżenia zajmujących. Jeden z najmilszych, i ten, któremu zaraz się poświęcił, było rozpoznanie owój tarczy misternej, pięknych sztuk wschodnich czarodziejskiego zabytku. Na dnie lazuruwóm, cudnego blasku, wznosiło się słońce, rozciągające wspaniale złote swe promienie. Dwanaście znaków zodyaku, ozdobione misternie, srebrem i drogiemi kamiećmi, otaczały tarczę do koła. Geniusz, wyrabiany przedziwnie, wskazywał na słońce; i, wzrokiem pewnym, zdawał się śledzić jego istotę. Napis grecki, w starożytnym dyalekcie, wyrażał te słowa: *On jemu miejsce wskaże!* Jakaś podwojona chęć nauk, i zgłębiania tajemnic widokręgu, ogarnęła młodego uczonego, na widok tego przepowiadającego

mu tyle chwały napisu. Jakaś, dotąd nie-  
doświadczona w umyśle jego, ciekawość,  
i dążność do nowych odkryć, rozwinęła  
się nagle w jego wyobraźni. Dar ten kosz-  
towny, i skromną karmazynową Anny prze-  
paskę, uważał odtąd za skarby wyższe nad  
wszelki szacunek: pierwszy przepowiadał  
mu chwałę, którą od lat dziecinnych roz-  
ognioną wyobraźnią ścigał; druga roko-  
wała mu pamięć i wdzięczność czułej pię-  
kności, którą tylko podobno w siedmna-  
stym roku życia młodzieniec godnie cenić  
i wielbić umieć.

Niewypowiedzianie rozkoszne były dla  
Kopernika te chwile, które samotnie na po-  
kładzie statku przemarzał! Inne dla niego  
wydawały się odtąd światła słonecznego  
promienie, inny zdawał się jemu srebrzy-  
sty blask księżyca, i jaskrawe gwiazd za-  
rzenie. Rozpoznać ich istotę, ustalić ich  
ruch, odkryć właściwe im obroty: ta była  
dążność młodego uczonego. Już znikł przed  
jego oczyma urok rodzinnych progów, już  
krótkie tylko chwile rodzicom poświęcić za-



myśla. Podwojona chęć do nauk, natężona usilność dopięcia swego celu, ogarnęły całą jego duszę tak szybko, tak raptownie, jak owa drobna iskra, która, lekką zająwszy zapałkę, staje się, w jednej chwili, pierwiastkiem ogólnego oświecenia wspańskiego gmachu.

Ale już Toruń rozwija, przed oczyma młodzieńca, swoje starożytne mury, wieże okazałe, dziwaczne dachy, i bramy warowne. Kamienica ciemna, pstro pomalowana, mocno zamknięta; gdzie więcej krat żelaznych, niż drzwi i szyb w oknach; więcej wązkich korytarzy i sklepów, niż pokoi, znaleźć można, otwiera mu swe podwoje. Sędziwy ojciec, i rzeźwa jeszcze matka, przyjmują go radosnie. Ileż tam było uściśnień, zapytań, i krzątania się, czułej matki, około tak dawno wyglądanego jedyne go dziecięcia! Ileż razy, kiedy go ojciec badał o nauki, o rodzinne sprawy, o wuja biskupa, i odjazd do Bononii; matka przysuwiała się znienacka, pytając cicho, ale troskliwie, gdzie to, lub owo, z jego drobnych ruchomości,

umieścić wypadła? Ale raptem młodzieniec przypomina sobie drogi upominek książęcy; nie odpowiada na ojca zapytanie, nie uważa na skwapliwie goniącą go matkę: bieży do swego małego alkiérza; i tam póty zostaje, póki droga mu tarcza, bez uszkodzenia, w przyzwoitém miejscu umieszczoną nie została.

Nie raz opowiadał Kopernik rodzicom swoją przygodę na Wyszogrodzkim zamku; nie raz opisywał ciekawej matce piękność księżniczki, czarujące położenie jej mieszkania, dobroć malującą się w oczach starego książęcia, wspaniałą zbroję i postać greckiego rycerza; nie raz kosztowna tarcza była przedmiotem ich ciekawości i zadziwienia: ale jakiś tajemniczy wstręt, nie dozwalał mu odkryć nikomu znaczenia wyrazów napisu, na niój znajdujacego się. Byłato (że tak rzekę) wstydlivość szkolnej skromności. Obawiał się, ażeby nie odgadniono, że napis tak szczytny, do swojej, dotąd tak mało znaczącej, może stosować osoby; udał, że liter tych odgadnąć nie może:

a ojciec i matka jego, w zwykłej prostocie owego wieku, widzieli tylko w tej tarczy kosztowny dar wielkiego pana, który szanować im się należy.

Zakres czasu, oznaczonego na pobyt Kopernika w Toruniu, minął szybko dla jego rodziców; ale nader, dla młodego badacza natury, zdawał się być długim. A lubo czule do ojca i matki przywiązany, uniał nadto cenić wartość chwil straconych dla nauk, i sławy, ażeby nie pragnął jak najgoręcej prędkiego swego odjazdu. Już też i kupcy Toruńscy wybierali się na jarmarki jesienne do Niemiec. Jeden z nich był przyjacielem rodziców naszego ucznia; jemuto powierzył starzec, całego swego życia pociechę: z nim więc puścił się młody astronom, w długą i nową dla siebie wyprawę.

Po długiej podróży, dla ogromnych lasów, bystrych rzek, i piaszczystych stepów, w owych czasach nie miłej, stanęła cała karawana, z kupieckich bryk po większej części złożona, u bram pięknego szląskiego miasta. Już wtedy kraj ten odznaczał się po-

rządkiem i pracowitością mieszkańców, od ościennych, ustawicznie wojujących, pobratymczych Sławian. Miasto to, wprawdzie niewielkie, ale przyjemnie zbudowane było; bielące się płótna na łąkach, które go otaczały, odżywiały, w pamięci północnych wędrowników, o czyste śniegiem okryte łąny. Zamek książęcy wznosił się na pagórku, lipowym i dębowym otoczony gajem; okna jego, kolorowemi ozdobne szybami, odbijały promienie zachodzącego słońca w tysiącznych kolorach. Wesołe niemieckie dziewczeczki spędzały trzody śpiewając; inne, niosły na głowach wiadra, napełnione wydojoném świeżo, tłustych krów i owiec, mlékem.

Gościniec szeroki, ożywiony przemysłem mieszkańców, przedstawiał ustawicznie nową jakąś przyczynę do opóźnienia się w drodze. Zajechali więc nasi podróżni przed miasto, wtedy, kiedy już bramy onego zamknięte były. Straż wzbraniała się wpuścić do niego, tak znacznego konwoju, o spóźnionej porze; wszczęła się

złąd kłótnia, między kupcami a strażą. Niektórzy mieszkańcy wmieszali się do niej. Hałas wzrastał coraz mocniejszy. Przyszło nakoniec do bitwy, w skutek której, dwóch kupców Toruńskich, z których jeden był właśnie towarzysz podróży Kopernika, zostali pojmani; i do więzienia miejskiego wtrąceni. Szlachetny młodzieniec, dalekim był od wmieszania się w tak gminną sprawę; ale go nie mało obchodziła, bo widział bieg swojej podróży przerwany: a wiele mu na tém zależało, ażeby stanął w Bononii, przed otwarciem kursów Akademii.

Zsiadłszy z powozu, jak się tylko kłótnia wszczyła, i spokojnie po gościńcu chodząc, wdał się w rozmowę ze starym Szlązakiem, do miasta na szelkach taczki z warzywem prowadzącym; i dowiedział się od niego: że to miasto jest Lignica, gdzie książę Bolesław, nie dawno, z młodą, cudnej urody księżniczką Mazowiecką, zaślubiony, przybył; i że jeszcze na zamku trwają dotąd festyny i weselne gody. „Czy podobna?“ — zawołał razem radosnie i z żalem, młody podróżny —

„Tulajto Anna panuje! tu znowu widziéć ją, a może błagać mi przyjdzie jéj łaski!“ Nie-miłe było uczucie, które w nim ta myśl ostatnia wzbudziła; ale mu się wahać długo niepodobnym było. Przepaska księżniczki, spoczywała dotąd na jego sereu; tarczę, opiece matki poruczoną, zostawił w domu rodziców. Ależ postać jego, czyż miała już zupełnie być wymazaną z pamięci téj, którą wybawił? O! nie, zapewne.

Skoro więc nazajutrz bramy miasta otworzono, wchodzi młodzieniec do niego, ubrany swego kraju strojem; kolor ciemno-szafirowej oponczy, przepasany czerwonym pasem, odznaczają go, zdaleka, od szlzązkich mieszkańców Lignicy: idzie prosto na zamek, gdzie mu trabanci ksiąźcy przystępu wzbraniają. „Proszę tylko,“ — rzecze młody Polak spokojnie, dobywając opaskę z zanadrza — „okazać to waszój księżnie, a niebawnie sami mnie do niéj zaprowadzicie.“ Rozśmiał się dowodzący strażą, stary giermek; ale się nakłonił do żądania młodzieńca, spojrzawszy na jego ubiór nadwiślański.

Heżto słodkich pamiątek obudził, w sercu księżnej Anny, widok szkarłatnej przepaski, w tak stanowczej porze jój młodego życia uronionej! „Niechaj się przedemną stawi ten szlachetny młodzieniec;“ — zawołała porywczo na giermka — „miło będzie zapewne także mojemu Bolesławowi, wynurzyć mu wdzięczność swoją,“ — dodała nieco wolniejszym głosem.

Kopernik właśnie wtedy wchodził do bogato ozdobionej komnaty, i przed aniołem swych marzeń, z uszanowaniem, skłonił się.

„Cóż ciebie tu sprowadza? nieznanym mój wybawco! Czy ojciec mój sędziwy, z rodzinnej zagrody, już do mnie powiernika zsyła? Czy się chce przekonać, o powodzeniu szczęśliwym swojego dziecięcia? Czy ciebie samego jaki los przeciwny w moje wiedzie progi? Zawsze, zawsze mile w nich witany będziesz; jakakolwiek do mnie prowadzi cię przyczyna!“

Tak słodko i wdzięcznie przemówiła do młodzieńca księżna na Lignicy, z całym

urokiem piękności, blaskiem zaszczytów otoczonej.

Kopernik, spojrzeniem jej, więcej niż mową, zniewolony, ledwie zdołał pojąć szczęście tej chwili. Trudno mu było zaiste, w tak uroczém położeniu, wytłumaczyć znikomy powód stawienia się swego przed Anną; uczynił to jednak w krótkich wyrazach: a jeden znak, dany straży, otworzył więzienie poczciwego Toruńczyka.

Ale nie bez trudności uzyskał młodzieńcze pozwolenie oddalenia się. Chciała go koniecznie księżna zatrzymać na zamku, czas jaki; żądała, ażeby zaczekał innej sposobności, dalszego odbycia podróży: i dopiero, po dokładném wytłumaczeniu powodów, dla których z takim pośpiechem podróż odbywa, zezwoliła na odjazd jego. Bo księżna Anna, w tak młodym wieku, należała do tej małej liczby kobiet, które, w owym grubym niewiadomości czasie, ceniły nauki i kunsztu; lubo, ówczesne ich wychowanie; nie dozwalało im smakować w ich ponętach.



Przedstawiony xiążęciu Bolesławowi, i przez dworzan uprzejmie przyjęty, nie bawił jednak na tym dworze jak godzin kilka; wrócił się do towarzyszków podróży, nie zapomniawszy odebrać, z rąk starego giermka, czarodziejskiej przepaski, przed którą podwoje xiążęce spadały. Wrócił więc do swoich, i z niemałym zadziwieniem od nich przyjęty został: bo nietylko wybawiciela swego w nim widzieli; ale im oznajwiono, z woli xiążęcia, że cała karawana pod szczególną opieką rządu jego zostanie, póki tylko w księztwie Lignickim przebywać będzie.

O! jakże Toruńczanie szanowali odtąd tak wielowładnego towarzysza podróży! zdawało im się, że on, w każdym państwie, tyle wziętości mieć może; że to jakiś mędrzec, nadludzkie posiadający zdolności. Słowem, tak jak to najczęściej bywa, przypisywano mu to, o czém mu się nigdy nawet nie śniło: wtedy, kiedy istotne jego zamyśły, i świetne powołanie, grubą jeszcze przed światem okryte były zasłoną.

Nie będzie to moją rzeczą opisywać chwalebne doskonalenie się w naukach, naszego współziomka. Dziwili się zarazem koledzy, i nauczyciele, nad jego pracowitością, i szybkim w każdym przedmiocie postępem. Tyle wiadomości pomocniczych do swego powołania nagromadzić zdołał; tak istotnie pracował na zjednanie sobie powszechnego uwielbienia: że, po trzechletnim akademickim zawodzie, wszelkimi uniwersytetu zaszczytami ozdobiony, w najchwalebniejsze świadectwa opatrzony, wrócił do kraju swego, z tém słodkim przekonaniem, że się do chwały jego, i ogólnej oświaty, chlubnie przyłożyć potrafi.

Lubo, tak szczytnym pracom oddany, mało mógł poświęcić czasu słodkim przeszłości wspomnieniom; nie raz jednak, pod czarującym niebem południa, przebiegając urocze Bononii okolice, obraz owęj nadwiślańskiej góry, owęj przygody na szląskim zamku, lubo pod mniej pogodnym widokręgiem, ale miłszy nierównie przedstawiał się jego pamięci!

Dwa razy tylko w życiu ujrzał tę, która umysł jego odgadnąć, i serce napełnić zdołała; tę, którą nigdy posiadać, a zawsze wielbić, przeznaczenie mu wskazało. A chociaż przystęp do pięknych włosów był łatwy, i kolledzy jego nie skarżyli się nigdy na ich zbytnią surowość: młody Kopernik unikał od każdej sposobności, któraby mu zbliżenie się do pęci pięknej nastręczyć mogła; i wrócił do Polski równie z czystym sercem, jak nieskażoną wyobraźnią. Umysł jego nabrał nawet zbytniej surowości; i równie dziwne, jak niezastużone, czynił sobie czasem wyrzuty.

Trakt, w odwrotnej podróży, zupełnie odmienił, zostawując opodal Lignicę; lubo solennie obiecał księżęciu, że jakiś czas u niego zabawi, ukończywszy nauki. Wielkie on zaiste odniósł nad sobą zwycięstwo zręczeniem się dobrowolnym widzenia téj, która, mimo ustawicznego ścigania ciał niebieskich, po świata przestrzeni, tyle jeszcze w jego umyśle i sercu młodzieńczym zajmowała miejsca, że jój nie jedna gwiazda

zazdrościćby mogła! — gdyby gwiazdy, tak jak my znikome istoty, namiętnościami miotane były. Dokonawszy szczęśliwie tak trudnego postanowienia; odtąd cały, wyższemu powołaniu oddany, zatopił się coraz bardziej w wielkości owych dostrzeżeń, daleko w głębi duszy przeszłość zostawując.

Czas unosił nieznacznie, na swych odwiecznych skrzydłach, urok pierwszych lat młodości księżnej z Lignicy: rozprzestrzeniając co chwila jaśniej, i głośniej, zadziwiające Kopernika odkrycia.

Księżna Anna młodo owdowiała; i panowała mądrze nad krajem, który jęj, bezdzicznie zmarły małżonek, oddał w dzierżenie. Zajęta szczęściem nielicznych, ale do siebie przywiązanych poddanych — rzadko także kiedy, chwile pierwszych czasów zamęźcia wyobraźnia jęj przedstawiała.

Dziwne czasem, przedmioty i nazwiska niektóre, w nas wzbudzają uczucia! Tém było dla księżnej imię Kopernika, często bardzo o jęj obijające się uszy. Opowiadali

przejeżdżający z Mazowsza i Prus królewskich podróży: że ten sławny mędrzec, poświęciwszy się zupełnie naukom, wszedł w szanowny poczet kapłanów; że w mieście Frauenburgu zamieszkał, i, z wieży tamtecznej katedry, mądre swe astronomiczne postrzeżenia światu udziela. Księżna z Lignicy, w istocie, nigdy nie słyszała tego nazwiska: ale brzmienie jego, lubo obce sławiańskim rodzinom, dźwięk jakiś jej sercu znany przedstawiało, który, podobny odgłosowi jakiegś dawno bardzo, przy miłym zdarzeniu, słyszanęj nóty, wprawiał ją zawsze w marzenie skrytej ciekawości pełne. Cóż może zastąpić w wielu umysłach rozkosz, którą urok nasycionej ciekawości sprawia?

Nie mało mędrców sędziwych; młodych uczniów, chciwych wiadomości; a nawet i niektórych wielkich panów, mniej obojętnych na szerzenie się oświaty, jak imito w owym czasie wielcy panowie byli — przejeżdżało przez Lignicę, dążąc do Warmii, ażeby poznać to światło, które od północy, na zachód i południe, tak dobroczyn-

ne roztaczało promienie! Długo się wahała księżna, w dopełnieniu coraz w nieć mocniej wzrastającej chęci ich naśladowania; przemogła nakoniec ciekawość, i żądza dopięcia trudnego zamiaru.

Poufała, jeszcze z Polski wywieziona, słuźebnica, i kilku wiernych giermków, jedynie tylko towarzyszyć jęj mają. Opuszcza na czas krótki Lignięę, i cała miłym uczuciom oddana, odwiedziwszy stryja swego, ksiąźęcia Janusza, w późnęj starośći jeszcze na Płocku panującego, udaje się do ziemi Pruskięj; gdzie ją nietylko zamiłowanie nauk, ale może i skryty jakiś, lubo niemnięj gwałtowny, pociąg wiedzie.

Wśród czystych jezior, żywo w ich wodach odbijających się lasów, i równin piaszczystych, jest góra wysoka, na której wznoszące się miasto, katedrę, i wieżę Frauenburgską, dotąd widzięć można. Dzwony kościelne ogłaszały właśnie dzień uroczysty. Nieprzeliczone mnóstwo naboźnych, niedawno na wiarę świętą nawróconych Prusaków; kawalerów krzyżowych na dziel-

nych koniach; szlachty, z litewskich sąsiednich powiatów; a nawet, nawpółdzikich jeszcze kurpiów, z przyległych puszczy, które Litwę od Polski odgraniczały — dążyło na nabożeństwo, napełniając wszystkie do kościoła wiodące drogi i ścieżki.

Księżna Anna, z małym swym dworem, przebyła szczęśliwie tę tłumną zgraję; i, starannie czarną wdów zastoną okryta, weszła do wspaniałej katedry, ażeby przedewszystkiém oddać hołd wdzięczności Najświętszej Bogarodzicy, za szczęśliwie dokonaną, niebezpieczną i daleką podróż. Przybliżywszy się do wielkiego ołtarza, w bliskiej jego ławce, bez roztargnienia, całe nabożeństwo odprawić chciała: ale, jakże to często nasze najchwalebniejsze postanowienie błahym wypadkiem zniszczone bywa! po pierwszej z prawdziwą pobożnością odmówionej modlitwie, wzrok jęj podnosi się, i, mimowolnie, nieznanie miejsce śledzi z ciekawością.

Ołtarz, złotem i srebrem okryty, mnogą liczbą pobożnych ofiar ozdobny, przedsta-

wiał widok wspaniały. Rozmaite pogańskie pamiątki złożył tam nie jeden rycerz po zwycięstwie! Nie jedna matka, uprosiwszy zdrowie drogiego dziecięcia, ulane z srebra, na znak wdzięczności, w przybytku Pańskim złożyła! Włócznia Zimudzina i kołczan tatarski, litewska szabla i niemiecka zbroja, okrywały ściany obok ołtarza. Ale, w osobnym miejscu, na ozdobnym kobiercu perskim, zawieszono wspaniałą tarczę, na szkarłatnej złotem przerabianej przepasce: to wotum miało coś szczególnie odznaczającego, bo żaden pobożny nie minął go bez jakiejś oznaki uszanowania. Jeden rzut oka księżnej był dostatecznym do przekonania ją, że ta ofiara pobożna dobrze jej była znaną. Raz tylko piękne jej oczy odbiły złotego słońca promienie, i litery greckiego napisu, rzutem jednym, przebiegły; a zaraz poznała ten dowód wdzięczności, młodemu swemu obrońcy niegdyś dany! Tarcza Nicefora Laskaris, czyż mogła tu być zawieszona inną ręką, jak ręką nieznanego jej wybawcy?



A ten, tyle obiecujący w pierwszej wieku porze młodzieniec, czy mógłże być kto inny, jak ów w kwiecie wieku mędrzec, na całej świata przestrzeni tyle uwielbiany!

Osobliwsze jakieś uczucie niestosowności kroku, który uczyniła; wspomnienie owego młodego nieznajomego, który, już wtedy, nie był jej sercu zupełnie obojętnym; podróż tak daleka w celu nienagannym, która jednak do tak dziwnego przywiodła ją odkrycia: wszystko to obudziło w umyśle księżnej tysiączne spostrzeżenia, nad dwójznacznością swego położenia. Ale skoro się dobrze obeznamy, z jakąkolwiek jego niestosownością; już jest na wpół usunięta: bo nam nigdy nie zbywa na sposobach sprostowania lub pokrycia naszych błędów. Tém łatwiej to było księżnie, że nikt z jej orszaku nie widział tej tarczy: jej wierna służka daleko od ołtarza klęczała; a Szlązacy, z nią przybyli, żadnego o tak dawnych wypadkach wyobrażenia mieć nie mogli.

Wychodząc z kościoła zapytała się obojętnie jakiegoś przechodnia, co znaczą

21\*

oznaki uszanowania, téj wspaniałéj ofierze oddawane?

„O! moja Imość kochana!“ — odrzekł staruszek, przy fórcie stojący — „wszak to przecię znane światu całemu: że tę tam, jakąś złocistą blachę, archanioł Michał oddał naszemu księdzu kanonikowi; i że on się przez nią dowiedział, jak tam po niebie słońce i gwiazdy chodzą. Nasi ojcowie poświęcili ją tu uroczyście: a że to ma być rzecz arcyświęta, wszyscy się żegnamy przechodząc koło niéj; a nawet kto z wiarą na to słońce patrzy, kiedy go oczy bolą, pewnie uzdrowionym zostanie.“

Uśmiéchnęła się księżna mimowolnie z prostoty starego żebraka; a odwdzięczając mu świątobliwe ze świętym Michałem porównanie, wcisnęła mu sztukę złota w rękę, za którą staruszek z podziwieniem jéj nogi uściskał.

Przybycie tak znakomitego gościa do Frauenburga, jakim była księżna z Lignicy, osobliwe sprawiło na mieszkańcach tego małego miasteczka wrażenie. I jak to

bywa, i w ciemnych, i w oświeconych wiekach, każdy swoim sposobem tłumaczył sobie przyczynę jęj przybycia. Kobięty i młode dziewczęta utrzymywały: że ona tu na ślicznego oczekiwać będzie rycerza, którego już dawniej kochała; że się pobiorą, skoro on przybędzie; i, w skutku tego, piękne nastąpią gonitwy i uczty. Starzy obywatele mówili, potrząsając głową: to przyczyny polityczne tak wielką panią do nas sprowadziły; ona chce zrobić zamianę ziemi Warmińskiej na swoje księstwo, i tutaj, ostateczną ugodę z Krzyżakami zawrzeć umyśliła. Młodym marzyło się o turniejach; prawnikom o jakiejś wielkiej przegranej, o sukcesyą po ojcu, sprawie. Nikt zaś nie odgadywał rzeczywistęj przyczyny tęj niepojętęj wędrówki. Bo rzadko kiedy powszechne mniemanie odgadnąć zdoła drobne przyczyny, lub tajemny pociąg, który nas, znikome istoty, często, właśnie tam prowadzi, gdzieby nam się najniżej znajdować wypadało.

Już godzin kilka upłynęło, a księżna Anna rozmyślała jeszcze głęboko nad tem: czy miała się widzieć, lub nie, z owym mędrcem, który był istotną przyczyną jej przybycia w tak dalekie strony. Coraz bardziej wahająca się, coraz ostrzej wystawiała sobie niestosowność tego co czyni! Słabo jednak tylko opierać się zdołała gwałtownie wzmagającej się chęci zaspokojenia swojej ciekawości!

Pomysł szczególny, ale tem cheiwięj przyjęty, im był dziwaczniejszy, nastrocza jej myśl przebrania się, i, nie będąc poznana, odwiedzenia tego, który tak szczególnie, i jej duszę, i świat cały chwałą swoją zajmuje. Zrzuca skwapliwie wspaniałą czarną axamitną suknię; przywdziewa prostą odzież warmińskiej wieśniaczki; kryje swe długie kosy pod skromnym czółkiem, i chustką na krzyż związaną; i udaje się napowrót do kościoła, pobożnie różaniec odmawiając.

Chór niewidzialny kapłanów odśpiewywał właśnie nieszpory. Głos, dobrze znany

księżnic, niekiedy się nad inne wznoszący, zajmuje ją całą! Był to głos młodego ratującego ją żeglarza; głos wędrującego przez Lignicę ucznia, błagającego jej łaski; a teraz głos tego, któremu ziemia cześć zasłużoną oddaje; głos, który światów kierunek oznacza, i wahające się współczesnych umysły w rzeczywistych zasadach utwierdza.

Trudnoby mi było, zaiste, opisać wrażenia, jakie ta świątobliwa harmonia uczyniła na księżnic. Bo lubo wiek nasz (jak utrzymują) obfituje w wielkich ludzi, ja wyznaję szczerze: że nie miałam szczęścia, z żadnym mieć tak bliskich stosunków, jakimi były stosunki mojej księżniczki z tym, który jedynym był, w owym dawnym wieku, geniuszem.

Słodkie dumanie zastąpiło wkrótce nabożne modlitwy. Księżna coraz żywiej zostaje w przeszłość przeniesiona: znikła dla niej, na chwilę, przestrzeń czasu, który ją od dnia tego oddziela, kiedy lubo Wyszogrodzkie siedlisko, sędziwego ojca i niedo-

rośtych braci porzuciła; ażeby, po krótkim domowego szczęścia udziale, wiek dojrzały w smutném przepędzać odosobnieniu!

Ucichły śpiewy. Lud pobożny rozchodzić się zaczął; księżna Anna sama tylko została, czekając na wyjście kapłanów z Pańskiego przybytku. Ci zaś niebawnie wyszedłszy, rozchodzą się wszyscy; jeden tylko pozostaje, i, klęcząc długo przed wielkim ołtarzem, ciche swe modły do Boga zasyła. Anna się zbliża nieznacznie, klęka przy bocznym ołtarzu, i pilnie się jego modlitwie przysłuchuje.

Cnotliwa i czysta dusza kapłana, pozbawiona wszystkich namiętności, które nią czas długi miotały, maluje się cała w szlachetnych rysach jego pięknego oblicza. Już południe jego wieku, ku wieczorowi schylać się zaczyna: ale włos jego jeszcze jest ciemny; ogień oczu, równie jak w młodości, przenikliwy. Postać hoża, i kibić wyniosła, czynią go równie przyjemnym z postaci, jak był wielkim z nauki, i umysłu szczynności!

Ostatnie promienie zachodzącego słońca błyskotliwie odbijały malowanych szyb kolory, nadając ciemnym sklepieniom, i straszliwym obrazom, wystawującym świętych Pańskich męki, przemijającą jasność, tém smutniejszą, im krócej wzrok mamiła. Księżna, zwyczajem ówczesnych niewiast, pomimo wyższego ukształcenia, nie zupełnie jednak, od zabobonnej wiary w nadnaturalne wypadki, była wolną. Drżała mimowolnie na widok ciemnych sklepień, i kamiennych postaci, nagrobki zdobiących. Ale wnet modły kapłana głośniejsz się odezwały, i całą jej zajęły uwagę.

„Racz Panie!“ — rzekł powstając — „sprawić łaską Twoją, ażeby ta postać anielska, już nigdy więcej nie zajmowała mojego umysłu!.... Niechaj ją raz jeszcze pobłogostawić, a potem na zawsze zapomnieć, dobroć twoja dozwoli!“

Te słowa wznieciły, w umyśle i sercu księżnej, najżywszą exaltacją. Zbliża się raptem do Kopernika, i na tym samym stopniu ołtarza, z którego on powstał, klęka

z pokorą; a pobożnie oczy ku niemu zwracając, rzecze z czułością:

„Stróżu mojej dobrej sławy w pierwszej porze życia! oto jestem; przybyłam tu, jak tego żądasz, po ostatnie twoje błogosławieństwo.“

Ten głos słodki, ta postać skromna, ten ubiór wieśniaczy, w zadziwienie zrazu tylko kapłana wprowadzić się zdają. Ale tak często dotąd ta postać jego wyobraźnią zajmowała; tak często błagając Boga o jej szczęście, to pełne wdzięków oblicze, przedstawiało się jego marzeniom: że, w rozkwitniętym teraz kwiecie, poznał niebawnie ową różę, wówczas napółrozwitą. Ale tém mocniej odurzony tak podziwiającém zdarzeniem, zadosyć jednak czyni jej żądaniu; i klęczącą przed nim wieśniaczkę czule błogosławi, o jej dostojnej godności zupełnie przypominając.

Anna powstaje z radością; i, z anielskim wyrazem w twarzy, wiedzie go do téj tarczy, jedynéj i tajemniczéj rękojmii czystych



związków dwóch sere, wyższych nad wszystkie światowe widoki!

„Tutaj cię żegnam na zawsze!“ — rzecze z uśmiechem tkliwości pełnym — „tam zaś“ — i oczy jój wzniosły się ku niebu — „złączymy się na wieki!“

To wyrzekłszy, oddała się szybko; i, podwajając kroki, zbliża się do bocznego wyjścia, gdzie stądy jój na nią czekają. Wychodzi z kościoła, wraca do gospody, przybiera nazad oznaki swego dostojęstwa, i jeszcze tego samego wieczora Frauenburg opuszcza.

Kopernik, zamknięty w samotném swém mieszkaniu, szukał długo nadaremnie powodów i celu, tego osobliwego księżnej Anny postępku. Mniej zaiste, z tajnikami sere niewieścich, niż z poruszeniem ciał niebieskich, obeznany; łatwiej mu było wyrachować bieg jakiego komety, niż dociec, co sprowadzić mogło w te dalekie strony, i w tej właśnie chwili, osobę tak drogą jego pamięci. Ale, w wieku tyle od nas oddalonym, wieley ludzie okrywali blask swojej chwały

skromności zastoną; a ta nie dozwalała naszemu mędrcomu przypuścić, ażeby on jedynie mógł być celem téj podróży. Cały swoim pracom oddany, przybywał tylko do katedry wtedy, kiedy uroczystość jaka koniecznie mu to nakazywała. Nie wiedział więc nic weale o przybyciu księżnej Lignickiej do Frauenburga; lubo tém zdarzeniem wszyscy jego koledzy zajęci byli, i właśnie solenne poselstwo, z pośród siebie, wysłać do niej postanowili: a na czele jego uczony Kopernik, poważną mową, tak dostojnego gościa powitać, był przeznaczony.

Próżne zabiegi! niewczesne przygotowania! bo już nazajutrz ani księżnej, ani jej orszaku — ani nawet nadziei docieczenia przyczyn jej przybycia, najciekawszym badaczom nowin w Frauenburgu nie pozostało.

Księżna znikła, jak zjawienie snu miłego, jak tajemne nocy widziadło! znikła, jak te nadzieje, któremi się, od pokolenia do pokolenia, łudzą niektóre narody! znikła nakoniec, jak piękność, której śladu nawet czasem napróżno szukamy, ustępując, w współ-

czesnych wyobraźni, innemu jakiemu przedmiotowi, równie zajmującemu, i równie przemijającemu, jak jej zjawienie.

ANNA NAK.....



WALTON SCOTT,

*Author of "The Anchor and the Wreath"*

— Rola wrażeń epitym, jak młodość, a jej  
 jest imię, które, jak młodość, a jej  
 nikt nie może wyobrazić sobie, a w  
 ich imię, które, jak młodość, a jej  
 Wrażeń - które, jak młodość, a jej  
 wrażeń - które, jak młodość, a jej  
 imię, które, jak młodość, a jej  
 wrażeń - które, jak młodość, a jej



**WALTER SCOTT,**

*Wspomnienie Hawthorne.*

---

Rok właśnie upłynął, jak zniknął, z po-  
śród śmiertelnych, jeden z czynnych i ge-  
nialnych członków ludzkości. Już, we wszy-  
stkich językach, skreślono krótki rys życia  
Walter - Skotta: czyżby mowa nasza głosu  
wdzięczności mieć nie miała? Myżbyśmy  
milcząć mogli, kiedy ludzkość pieśń chwały  
nuci zaśladze; opuścić dłonie, kiedy ona

jój wieniec uwija? O nie! dobierze język nasz dźwięków, dorzuci nutę do pieśni: a ta nuta, choć cicha, nie przebrzmi w przyszłości; bo się zjednoczy z duchem wieku. . . Coraz widoczniej znikają odcienia narodowe: wielki człowiek jest obywatelem świata; synem, nietylko swego kraju, lecz ziemi całej; chlubą, nietylko swego rodu, lecz ogółu.

Obok słusznej części dla geniuszu, winniśmy szczególną wdzięczność autorowi Wawerleja. W żadnym może narodzie, nie widziano tak smutnego połączenia: oziębłości dla dzieł treściwych, użytecznych, oświecających; i razem entuzjazmu dla nędznych i lekkich romansów, które męczą zdrowy sąd rozumu, każą smak czysty, tłumią niewinną wyobraźnię, osłabiają potrzebną w czynnym życiu energią. Do czasów Walter - Skotta (z małym wyjątkiem) romanse były obrazem przesadzonych uczuć i nienaturalnych wypadków; on pierwszy, jak pszczołka, co z trucizny słodycz wyciąga, uniał zgubny nałóg uży-

tecznym uczynić. Uchwycił właściwe przeznaczenie powieści; i, polubiwszy ten rodzaj pisma, skierował do niego dążność wieku. Pojął, że dzisiaj najmniejszy rys piórem zakreślony, ku oświacie zwracać myśl powinien; że to tylko nieśmiertelne, co odbija w sobie ducha swój epoki; że biada nawet geniuszom, którzy serce oderwali od swego rodu, umysł, od nadziei postępu. Obok tego poznał ważność historyi: spostrzegł główne jej punkta, wydatniejsze grupy, olbrzymie indywidua; a szczególnież to życie domowe dzieciów (żetak nazwę), rzewliwość, naiwność, prostotę; tę barwę urozmaiconą odcieniami zwyczajów, obyczajów. Pożyczył pędzla od natury; i, z tych materiałów, utworzył malownicze połączenie, gdzie, uczoność, oświata, zamiłowanie tradycyi, czucie, chęć poznania charakterów, znajdują pożądaną dla siebie żywość; a cała istota człowieka, pieczęjąc się przedstawionym widokiem, zbiera lubę wrażenia, lub spogląda jakby na genialnego dłuta twór.

Romanse Walter-Skotta, nie mogą obłąkać młodzięczej duszy; są one uzupełnieniem dziejów ojczystych. Pisarz ten, dobrze pojęty, jest godnym dziecięciem dziewiętnastego wieku, bo każda kartka wznaga silną ufność w zaród postępowy ludzkiej rodziny. Przemysł, odkrycia i wynalazki uczonych, urzeczywistniają wprawdzie tę otuchę: lecz błogo człowiekowi w przeszłości zebrać dźwięk nadziei; w chwilach ubiegłych coś więcej, nad tę przeszłość, widzieć. A jakiżto sposób uważania historyi dzielniej temu celowi odpowiada, niż rozbiór zwyczajów, obyczajów, smaku każdej epoki. Tą dopiero drogą można dojść do pojęcia tej zasady: że w dziejach rodu człowieka nie ma powtarzań; chociaż główne punkta do siebie podobne, każdy z innych żywiołów się składa, gdzieindziej prowadzi.

*Sir Walter Scott* urodził się w Edynburgu, 1771 roku. Są okolice, w których natura, jak przychylna matka, bierze na swe łono dziecinność genialnego człowieka; karmi



jego wyobraźnią cudnymi widoki, pićwój jeszcze, nim rozum mógł utworzyć pićwwsze próby sądu i kombinacyi. W takim człowieku, czucie i marzenie poprzedzają rozsądek. Pićwwsze lata jego młodości upłyną wśród bujania myśli, krajobrazy natury zwiążą serce z przyrodzeniem, pamięć zbierze ten luby dźwięk tradycyi ojezystej, co tak słodko młodzińcze uczucia kołysze: a te różnorodne żywioły wrażćń wywołają rozwinięćcie rozumu; utworzą charakter razem wzniosły, tkliwy, i do pracy dla ludzkości gotowy. Jedną z tych przyjaznych okolic jest kraina Szkocyi.

Najpićwsi poeci i pisarze Anglii, w górach tej krainy, szukali natchnień i oczyszczenia smaku; tam również i młody Walter-Skott przebył poranek życia. Wystawmy go sobie, w postaci młodzińca, siedzącego na urwisku skał bazaltu. Wyobraźnia pełna wspomnień, smętnych marzeń Ossyana; myśl bogata już w obrazy; lecz głos jeszcze włąty; wyrazy niepewne, za słabo malujące burzliwe pomysły. W tém go

nagle pieśń pasterza uderzy — słucha — to ballada ojczystej treści. Łza oko dziecięcia zasła — spadła na mchem porośłą skałę. Ach! ta łza — to przymierze geniuszu z ziemią rodzinną: on jój pamiątki zbierze, dzieje rozjaśni, przeszłością przyszłość z bogaci.

Ojciec Walter-Skotta był prawnikiem, i przeczynał syna do podobnego zawodu; lecz skłonność jego, inny mu wskazywała kierunek. Poznanie mowy Getego, Szyl-lera, zwiększyło w nim jeszcze zamiłowanie poczyi opartej na tradycyi. Często widziano Walter-Skotta na rączym koniu, zwiedzającego najmniej znane okolice; podróż jego obejmowała często mil trzydzieści. Tamto, w samotném dumaniu, układał pierwsze swe utwory: *Sir Tristam*, *Marion*, *Pani Jeziora*, *Lord z wysp*, *Rokeby*, i inne.

Kilka lat później, w tych samych ustro- niach, o to olbrzymie skały i przepaści, odbijał się głos więcej zapewne genialny, silniejszy, ale za to dziki, posępny; myśli

więcej energiczne, potężne, ale ich dźwięk jakby lodem ścinał młodzieńcze nadzieje. Któż się nie domyśli, że chce mówić o autorze *Gaura*. Zjawienie się lorda Bajrona w świecie literackim, jego talent niezrównany, osłabiły w Walter-Skocie żądę walczenia o pierwszeństwo z tak dzielnym zapaśnikiem: porzucił zawód poety; i odtąd, sercem i duszą, oddał się powieściom treści historycznej.

Już natenczas był szeryfem hrabstwa Selkirk. W 1798 poślubił sobie Miss Carpenter; umysł świątły tej niewiasty, czynił ją godną towarzyszką wielkiego pisarza. *Waverley* jest pierwszym jego prozaicznym utworem. Odtąd, co pół roku, składał ojczyściej ziemi nowy owoc swój pracy, ludzkości piękny obraz, gdzie wnuki stawały się obecnymi rozmowie pradziadów; gdzie każdy odcień rodzinnego życia, wykrywał wyższość terażniejszości; gdzie blask i świetność dworu, nie zdołały osłaniać przed badawczym wzrokiem barwy obyczajów i ciemnych przesądów.

Anglicy, i cała Europa przyjęła, z zapamiętaniem, nieznaną dotąd cechą prostoty i dowcipu naznaczone utwory. Już Walter-Skott używał nagrody swęj pracy, która mu wygodne życie i liczne dochody zapewniała; kiedy, bankructwo wydawcy jego pism, wielką stratę majątkową Walter-Skottowi zrządziło. Zniósł nieszczęście z mężstwem, światłym umysłem właściwem. Po dziesięciu latach, niezmordowanej usilności, zdołał popłacić swe długi; i do wielkiego przyszedł majątku.

Czynność i działalność nieustanna; zdolność objęcia wielu przedmiotów, drobnych okoliczności; imaginacya żywa, w jednej chwili przemieniająca różnorodne podania tradycyi w piękne obrazy; giętkość umysłu, która, jakby cudowną siłą, przenosiła się w różne wieki społeczeństwa; znajomość charakterów; pojęcie szybkie głównych sprężyn, ważniejszych zdarzeń: te były celujące zalety talentu Walter-Skotta. We wszystkiem wierny duchowi wieku, chociaż cenił literaturę niemiecką; chociaż genialne

i tkliwe utwory Szyllera, nie jedną iskrę natchnienia, myślom jego podały: nigdy jednak nie mogły go uwiéśdź czarownym pozorem marzenia metafizyki niemieckiej. Dziecię rzeczywistego świata — w nim czerpał naukę, dla niego utwarzał dzieła uczone i wdzięczne. Bo nie tylko romanse były przedmiotem licznych pism jego. Dziennik krytyki Edynburgskiej (*The Edinburgh Review*) winien mu być najpiękniejsze artykuły, najuczęnsze recenzyc poezyi, lub we względzie starożytności narodowych.

Z talentem skręślone biografie sławnych pisarzy, stawiają Walter-Skotta wrzędzie pierwszych biografistów naszego wieku. Pięknym jest ten rodzaj pisma: on stanowi jeden odcień historyi. Tam oko młodzieńca widzi wzór powabny dla siebie. Ogrom zasługi, olbrzymia wyższość, nie tłumią szlachetnego zapału. Dziecinność geniuszu, wykrywa wspólność jego z mierną całością; bo i on był słabym, i on błędził, i on stopniowo z wrażeń kształcił swe wy-

obrażenia, i dla niego praca była głównym źródłem odznaczenia.

Czynna, chciwa nowych wrażeń i podań, wyobrażnia Walter-Skotta, nie mogła poprzestać na tradycyi ojczyściej. Nad Sekwaną, na skalistój Malcie, i w uroczej Rafaela ojczyźnie, szukał pomysłów do nowych utworów. Owocem tych badań są: *Listy Pawła do swojej rodziny*, *Oblężenie Malty*, i *Pizarro*; dwa ostatnie, nieskończone, zdostały w rękopismach.

Obok tylu dzieł ważnych, Walter-Skott nie jedną godzinę, poświęcał upiększeniu swego zamku Abbotsford. Rolnictwo znał dokładnie; w włościach jego, widział przechodzień dobitnie uprawne, i bogatym płonem okryte, niwy.

Abbotsford ulubioném było mieszkaniem naszego pisarza. Pzekonany, że słabość jego jest śmiertelną, śpieszył z Neapolu do rodzinnego ustronia, które ostatnie jego przyjęło technienie 21 Września 1832.

Majątek pozostały nie wystarczał na opłacenie długów; i już piękny Abbotsford

miał być sprzedany, kiedy wdzięczność Europy okwitą składką uczciła pamięć wielkiego człowieka, przechowując miłem wspomnieniem ugodnione włości.

Mamże tu zakończyć? Czyliż, obok słusznych pochwał, nie Walter-Skottowi zarzucić nie można? Niestety! serce moje, w wielu względach, przeciwne ma uczucia jego zdaniom. Osobliwie w jedném z dzieł jego, najpoważniejszej treści, uważam wiele myśli i ogólnie cały sposób uważania rzeczy błędnym: bo jeśli człowiek zwyczajny, drugiego człowieka pojmować powinien, i sądzić, z właściwego stanowiska; w jakimże stopniu to pojęcie widziećbyśmy radzi, kiedy geniusz o geniuszu wyrokuje!.. Lecz zapominam, że współczesny jest rzadko sędzią sprawiedliwym; że najprzenikliwsze oko z trudnością głos nienawiści, od głosu wieku rozróżnia!

Chwała światłemu pisarzowi, chwała niezmordowanej usilności, chwała dobrze użytemu talentowi! Ludzkość jest razem wdzięczna i pobłażającą; ona zapomina

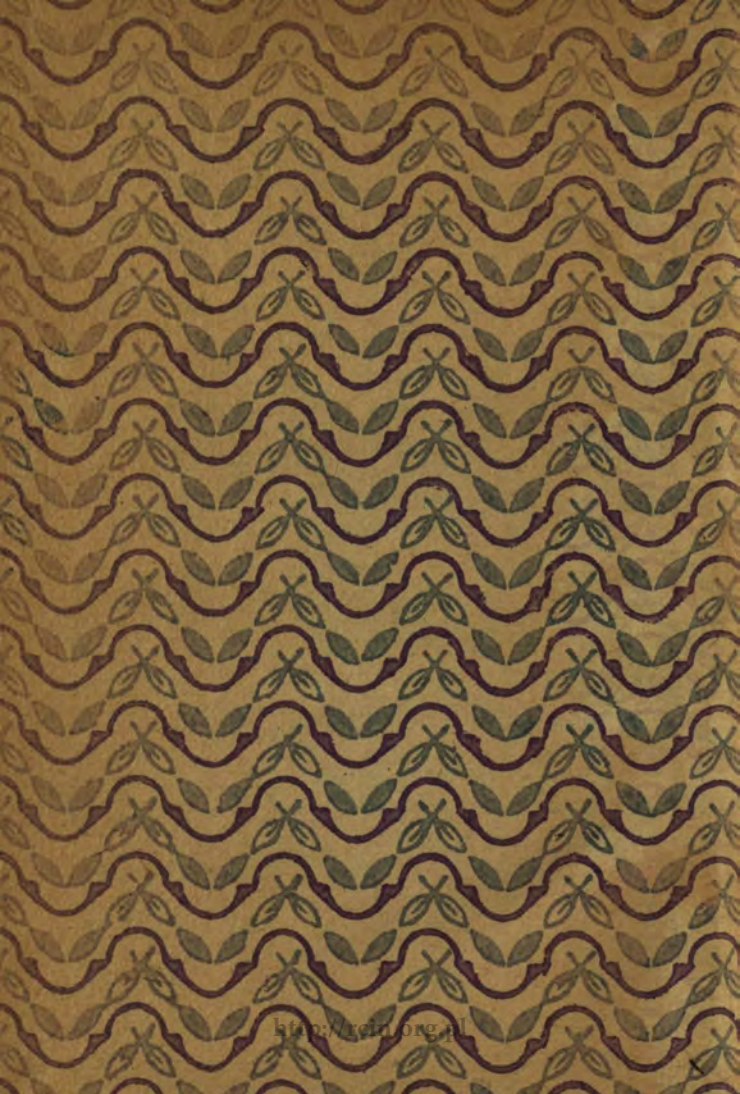
uchybień, lecz umie cenić zasługę. Przebac-  
cie, czytelnicy, że, w mowie naszej, słaba  
niewiasta ośmieliła się być tłumaczką jej  
uczuc. I w jej tonie bije serce: a w niem jest  
rękojnia dzielności słów wdzięcznych...

ELEONORA G.











N.P.I. 651

1834